



W NOC SYLWESTROWĄ

na tysiącach zabaw w całym kraju witano Nowy Rok 1955. Warszawa bawiła się wspaniale — nasz fotoreporter przyniósł nad ranem 1 stycznia konkretne tego dowody (ob. str. 24).

Fot. SWIAT — J. Kosidowski

POSŁUCHAJCIE krótkiej opowieści o bezdusznosci i biurokracji, noszących fałszywą tożsamość rzekomej słuszności politycznej. Posłuchajcie opowieści o jednej byłej więźniarce, o nieschematycznym personalniku i o pewnym naczelniku wydziału w Stołecznej Radzie Narodowej. Rzecz bowiem nie działa się za górami, za lasami, gdzie świat deskami zabity, ale w stolicy Polski. I nie działa się w maju, ale w listopadzie i w grudniu roku zaledwie ukończonego; i pewnym sensie dzieje się i dalej obecnie, a mam nadzieję, że działać się będzie i w bieżącym styczniu, tyle że w kierunku innym niż kierunek, który losom nadać pragnie ów naczelnik wydziału.

Była więźniarka zjawiała się w październiku w Warszawie. Nie miała ani dowodu osobistego, ani pracy, ani stałego miejsca zamieszkania. Więźniarka nie zbiegła z więzienia. Została z niego jak najbardziej legalnie zwolniona. Na drogę dano jej zapewnienie, że z powodu swego dawnego przestępstwa i kary, którą odcierpiała jak należy, nie będzie w żaden sposób dyskryminowana, ani prześladowana. I ponieważ z więzienia wyszła zgodnie z prawem i decyzjami odpowiednich władz Polski Ludowej, zjawiała się w Warszawie. Tu bowiem mieszka i pracuje jej matka. U matki w jednym pokoju zamieszkała i wówczas właśnie rozpoczęły się jej przykre przygody.

POKIWACIE głowami: oj znamy, znamy, tysiąc razy to czytaliśmy, że pracy nigdzie dostać nie mogła, bo asekuranczy personalnicy nie chcą zwolnionych z więzień angażować — wbrew wyraźnym wskazaniom Partii i Rządu!

Mylicie się? Maria Kobierzycka (tak brzmi nazwisko byłej więźniarki) dostała szybko pracę. Dostała pracę w Przedsiębiorstwie Budowy Sieci Miejskich. Na chwałę tamtejszego personalnika i dyrektora wymienimy ich nazwiska. Ob. H. Rzepniewska i dyrektor J. Musiał w sprawie byłej więźniarki, zatrudniając ją, zachowali się tak, jak należy.

Ale uzyskując pracę, Maria Kobierzycka nie załatwia wcale sprawy najtrudniejszej. Okazało się, że najtrudniej uzyskać zameldowanie w Warszawie, w mieście, w którym kiedyś mieszkała. Złożyła podanie do Wydziału Ruchu Ludności. Podanie poparte specjalnym pismem CRZZ. Wydział Kontroli Ruchu Ludności podanie to odrzucił.

Naczelnik tego wydziału, ob. Damiński, w rozmowie z osobą, która pragnęła uzyskać informacje o tej sprawie, podał dość szczerze motywy swego działania. Fakt, iż Maria Kobierzycka ma jedyną bliską sobie osobę w postaci matki, i że matka mieszka w Warszawie, i że dostała pracę w Warszawie — nie ma dla niego żadnego znaczenia. To ostatnie ma — według zapowiedzi ob. Damińskiego — pociągnąć za sobą jedno tylko: ob. Musiał, dyrektor Przedsiębiorstwa Budowy Sieci Miejskich, ma być ukarany grzywną w wysokości 500 zł za zatrudnienie Kobierzyckiej.

Poza tym naczelnik Damiński oświadcza, iż nikogo z osób zwolnionych z więzień nie zamelduje w Warszawie. Podaje on jeszcze bardziej drastyczny przypadek niż przypadek Marii Kobierzyckiej. Oto — według jego cennych oświadczeń — wyszła z więzienia pewna chora kobieta, której mąż i dzieci zamieszkują w stolicy. Ona również nie otrzyma prawa na zamieszkanie w Warszawie. Jeśli się kochają w tych rodzinach, to niech wszyscy zabierają się razem z Warszawy.

Warszawa nie dla nich, bo jeszcze jakiś szpieg może zjechać do jednej albo drugiej byłej przestępczyni i nieszczęście gotowe. Słuszna obawa i słuszna troska o bezpieczeństwo kraju. Tylko szpieg może również znaleźć Kobierzycką czy ową chorą matkę dzieci w Radomiu czy na wsi pod Wrocławiem. Nie należy wykluczać możliwości prób nawiązywania stałych kontaktów ze zwolnionymi z więzień. Te próby należy jednak — właśnie w imię troski o bezpieczeństwo kraju — utrudniać, a nie ułatwiać. Mnie się wydaje, że pozostawienie zwolnionej z więzienia osoby bez dowodu osobistego, bez meldunku, bez pracy i bez opieki rodziny, stwarza idealne warunki do ponownego werbunku dla agentów imperializmu.

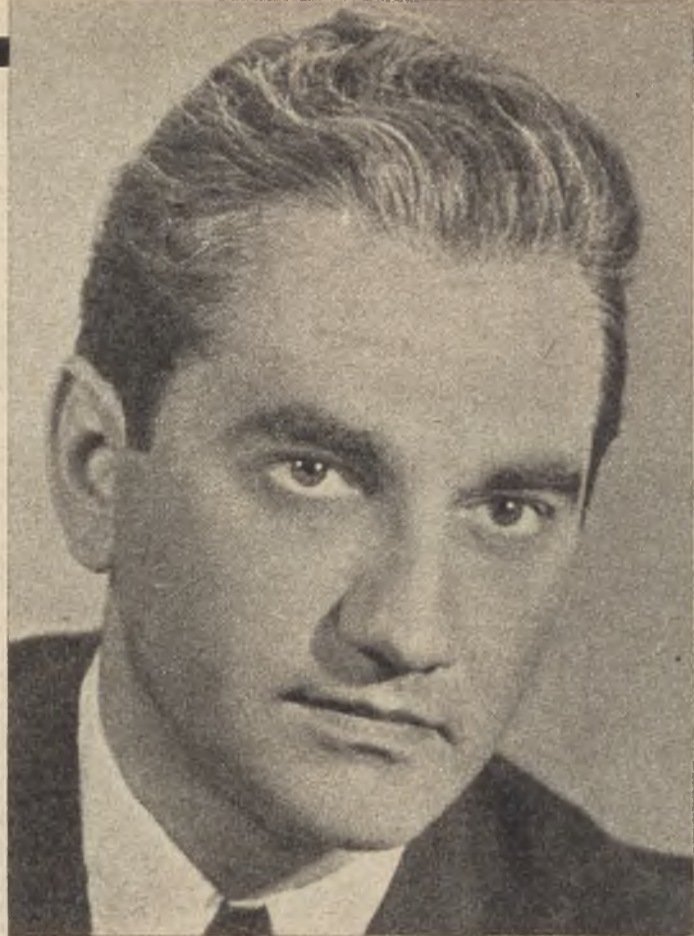
NACZELNIK Damiński uprawia inną politykę: w każdych warunkach, ze wszystkimi postępuje w jednakowy sposób. U niego w Warszawie zwolnieni z więzień mieszkać nie będą. I koniec! Czy naprawdę to może być koniec? Naczelnik Damiński swoje decyzje wypisuje na blankietach, na których widnieje dziwna formuła: „Decyzja niniejsza jest ostateczna i nie służy od niej odwołanie”. Naczelnik Damiński decyduje o setkach ludzkich spraw, stanowiących o kolejach życia ludzi, o losie rodzin. Decyduje samodzielnie, jednostronnie. Swoją decyzję w sprawie Marii Kobierzyckiej wydał nawet nie zapoznając się z pismem polecającym CRZZ. Naczelnik Damiński jest ponad to. CRZZ-owi odpowie się, że załatwienie odmownie i koniec.

Naczelnik Damiński stwierdza otwarcie, iż ilość podań w sprawach meldunkowych w stolicy przekracza jego możliwości studiowania tego wszystkiego, a ponieważ nie ma etatów na urzędników, podania i akta pozostają często w ogóle nie czytane. Wydawać by się mogło, iż w tej sprawie byłoby miejsce na jakąś kolegialną procedurę z udziałem przedstawicieli związków zawodowych, Partii i innych organów, procedurę, w której obywatel miałby prawo przedstawienia osobiście swoich racji. Wydział Kontroli Ruchu Ludności w sprawach losów ludzkich rozmawia tylko przez okienko. Naczelnik interesantów w ogóle nie przyjmuje. Dyrektor WZG w sprawie kwaśnych serników przyjmuje, ale naczelnik Wydziału Kontroli Ruchu Ludności nie przyjmuje, podać przeważnie nie czyta i decyduje bez znajomości faktów.

Decyduje w różnych sprawach: i w sprawach ciężkich, i w sprawach zabawnych. Jego to urząd odmówił zameldowania w Warszawie świetnemu rysownikowi, Lengrenowi, również bez prawa odwołania, i synowi redaktora z „Książki i Wiedzy”, gdyż ten przybył do Warszawy po 1 kwietnia, a mianowicie urodził się w czerwcu. Naczelnik Damiński powiada głośno, że nie miałem racji, stając w obronie tych dwóch ludzi i ich rodzin. Twierdzi, że te sprawy nie zostały załatwione. A ja twierdząc coś wręcz przeciwnego. Obaj ci ludzie zostali zameldowani.

ALE TAMTO były sprawy wesołe. Mógł Lengren przy pomocy jednego Filutka swoją sprawę załatwić. W sprawie Marii Kobierzyckiej wchodzi w grę wielkiej wagi kwestie polityczne. Ob. Damiński zresztą w swojej działalności powołuje się ciągle na swoją rzekomą „misję polityczną”. Naczelnik Damiński nie czyta podań obywateli, nie przyjmuje ich,

Dokończenie na str. 22



Dnia 30 grudnia 1954 r. zmarł nagle w wieku lat 40 znakomity artysta-plastyk Tadeusz Trepkowski, jeden z najwybitniejszych twórców w dziedzinie plakatu nie tylko w Polsce, ale i w Europie.

Tadeusz Trepkowski był współtwórcą naszego tygodnika oraz pierwszym jego kierownikiem artystycznym.

W zmarłym artyście plastyka Polski Ludowej traci wielki talent w pełni rozwoju sił twórczych.

Ostatnie jego plakaty — które w najbliższym czasie ujrzymy — na Konkurs Chopinowski i na Festiwal Muzyki Polskiej — są dowodem, że zmarły artysta ciągle doskonalił swój świetny warsztat.

Wszyscy pamiętamy piękne plakaty Tadeusza Trepkowskiego: „Moje uniwersytety”, „Oświećmy”, „Teatr Leningradzki”, „Express Moskwa — Ocean Spokojny”, „Na rocznicę Rewolucji”, „Grzech”, „Theatre National Populaire” i wiele, wiele innych — zawsze trafnych w pomyśle, niesłychanie syntetycznych w wyrazie, o metaforze prawie poetyckiej — i zawsze znakomitych graficznie.

W jednym z najbliższych numerów naszego pisma zamieścimy szereg najwybitniejszych prac zmarłego artysty, nieodżałowanego Kolegi i Przyjaciela.

Zespół tygodnika „ŚWIAT”

W hali Porte de Versailles odbyło się jedno z wielkich zgromadzeń ludu Paryża protestującego przeciw remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Na zdjęciu: uczestnicy



WBREW FRANCUZOM

Napisał: FRANCIS CREMIEUX

Paryż, 30 grudnia.

D 20 do 31 grudnia trwała we francuskim Zgromadzeniu Narodowym dramatyczna debata nad układami z Paryża i Londynu. Te dni pełne napięcia stały się po-

teżną manifestacją woli narodu francuskiego, który z całą stanowczością odrzuca remilitaryzację zachodnich Niemiec i domaga się porozumienia międzynarodowego, rokowań, pokojowego współistnienia narodów. Z obszernych doniesień prasowych znamy przebieg wypadków. Zgromadzenie Narodowe odrzuciło projekt uzbrojenia nowego Wehrmachtu, a później — po burzliwych posiedzeniach, brutalnym nacisku USA i Anglii oraz manewrach Mendes-France'a — zmieniło swą poprzednią decyzję. Fakt, że o remilitaryzacji odwetowców z Bonn zadecydowała wątpliwa większość (287 przeciw 260) ma jednak wymowę bardzo istotną. „Ratyfikowanie układów nikłą większością głosów — mówił Mendes-France, zagajając dyskusję w parlamencie — byłoby równie brzemienne w następstwa, co odrzucenie ich”. I, mimo wszelkie szantaże i naciski, rząd Mendes-France'a uzyskał — i to w drugim dopiero głosowaniu — tę tylko nikłą większość. Dowodzi to, że walka przeciw nowemu Wehrmachtowi nie jest bynajmniej zakończona. Prowadzą ją deputowani wszystkich ugrupowań, wśród których znajduje się sędziwy Edward Herriot, honorowy przewodniczący Zgromadzenia Narodowego. Prowadzą ją przede wszystkim najszerze koła społeczeństwa, wyrażające zdecydowany i coraz bardziej powszechny protest narodu.

Sytuacja jest tak wyraźna, że nawet najzagorzalsi atlantyccy zwolennicy zbrojenia Wehrmachtu nie mogli traktować własnych swoich życzeń — za rzeczywistość:

„Chowaniem głowy w piasek byłoby ocenianie rezultatów głosowania jako świadectwa, że Francja zmieniła swą opinię w sprawie remilitaryzacji Niemiec”. To głos „New York Times”. Publicysta tego dziennika, Callender, stwierdzał ze swej strony, że ratyfikowanie układów paryskich nieznaczną większością głosów oznaczać będzie „porażkę premiera i osłabienie nadziei

zebrania: G. Philipe i popularny piosenkarz Yves Montand (drugi od prawej)



pokładanych w polityce, która traktuje zbliżenie francusko-niemieckie jako punkt wyjścia do konsolidacji Europy zachodniej”.

„Większość ta — czytaliśmy niedawno w dzienniku „Scotsman” — będzie wystarczająca do ratyfikacji, ale pozostawi głębokie podejrzenia co do roli Francji w sojuszu zachodnim. Nawet jeżeli Mendes-France dobije do portu po burzliwej przeprawie — nie wszystko będzie w porządku. W jaki sposób współpracować będzie Francja nad realizacją polityki, której większość narodu francuskiego głęboko nie lubi i którą przyjmuje jedynie pod przymusem?”.

Większych na ten temat złudzeń nie mogła również żywić prasa zachodnio-niemiecka. Dla zaniepokojenia panującego w Bonn charakterystyczny był też głos burżuazyjnej „Sueddeutsche Zeitung”.

„Nic gorszego nie mogłoby się nam przydarzyć, niż remilitaryzacja zaakceptowana wbrew wewnętrzznemu przekonaniu Francuzów...”, wymuszana przez Amerykanów groźbą wstrzymania pomocy wojskowej i wykluczenia Francji z grona wielkich mocarstw. Jaką wartość przedstawiałaby wymuszona w ten sposób Unia Zachodnio-Europejska?”.

Mendes-France i wszyscy, którzy z Waszyngtonu i Londynu stosowali bezprzykładną presję na francuski parlament, nie mają więc powodów do trąbienia w triumfalne fanfary. Walka narodu francuskiego trwa i przybiera na sile. Rok 1955 nad Sekwaną rozpoczyna się pod znakiem dalszego wzrostu potężnych sił pokoju.

OPINIA KRAJU

Francuskie siły pokoju walczyły w ciągu dwóch lat przeciw EWO. Opinia publiczna poinformowana została wyczerpująco o niebezpieczeństwach, jakie kryła w sobie wojenna machina „europejskiej wspólnoty”. W odniesieniu do układów londyńskich i paryskich sprawa miała się jednak inaczej. Przywódcy amerykańscy, podobnie jak Mendes-France, chcieli przede wszystkim ubiec protesty szerokiej opinii publicznej i postanowili działać przez zaskoczenie społeczeństwa. Manewr ten spalił jednak na panewce i choć układy uzyskały w końcu niezbędną większość głosów w parlamencie, nie zostało przez to bynajmniej przesądzone.

Przed wszystkim — układom przeciwstawiła się i przeciwstawia opinia publiczna, która nie pozwoliła wywieść się w pole. Francuzi uważają powszechnie, że nie wolno im w żadnym wypadku zaakceptować odrodzenia agresywnej armii niemieckiej. Konstatują oni również, że polityka Mendes-France'a nie tylko nie wpływa na odprężenie międzynarodowe, ale że wręcz odwrotnie, rezultatem jej jest wzrost napięcia w stosunkach międzynarodowych. Ostrzeżenie Związku Radzieckiego i nota radziecka z 16 grudnia postawiły sprawę jasno: uzbrajać Niemcy znaczy to zrywać układ o sojuszu francusko-radzieckim. Społeczeństwo francuskie jest zaś do tego układu i do francusko-radzieckiej przyjaźni głęboko przywiązane, wyraziło to również wiele głosów w czasie ostatniej debaty parlamentarnej, m. in. uroczysty głos Edwarda Herriot.

Społeczeństwo francuskie nie godzi się więc na odrzucenie braterskiego sojuszu z narodami radzieckimi i zastąpienie tego sojuszu — fraternizacją z niemieckimi militarystami. Nie chce ono zrezygnować z przyjaźni dłoni obrońców Stalingradu i ścisnąć te same ręce, które mordowały w Oradour. Nie godzi się ono wreszcie na życie pod amerykańskim kierownictwem, gdyż doświadczenia lat ostatnich były wystarczająco gorzkie i pozwoliły wyrobić sobie o kierownictwie owym zdanie wystarczająco dokładne.

Kiedy w okresie konferencji berlińskiej Związek Radziecki proponował rozszerzenie paktu atlantyckiego i wprowadzenie europejskiego systemu zbiorowego bezpieczeństwa, propozycje te spotkały się we Francji z przyjęciem bardzo przychylnym. Idee zbiorowego bezpieczeństwa i powszechnego rozbrojenia są bowiem z natury rzeczy bardzo bliskie krajowi, który własną krwią zapłacił za porzucenie tych zasad w roku 1938, w Monachium. Francuzi uważają, że cała historia ich ojczyzny czyni z niej arkę przysięgi pomiędzy Wschodem a Zachodem i że Francja może waleń przyczynić się do utrwalenia pokoju i tego samego sojuszu, który okazał się zwycięski w latach wojny z hitleryzmem. Dlatego też, kiedy pod naciskiem opinii rząd Mendes-France'a wstrzymał działania wojenne w Wietnamie i odrzucił EWO, narodziło się wiele nowych nadziei. Opinia publiczna pragnęła widzieć w tych krokach próbę wyzwolenia się spod amerykańskiej kontroli i nadal żąda ona pójsicia tą właśnie drogą, a nie cofania się, które doprowadzi-

łoby do zerwania sojuszu francusko-radzieckiego. Stanowisko to nie uległo bynajmniej zmianie przez fakt, że nikłą większością 27 głosów postanowiona została ratyfikacja układów paryskich i londyńskich. Siły pokoju we Francji nie zamierzają koronie ugłać się przed rezultatem tego głosowania. Analiza dyskusji w Zgromadzeniu Narodowym jest zresztą także znamieną i charakterystyczną.

W PARLAMENCIE

W sprawie układów paryskich i londyńskich podzielone były wszystkie stronnictwa, z wyjątkiem Francuskiej Partii Komunistycznej. W wypowiedziach wielu deputowanych z różnych ugrupowań znajdowała wyraz obawa o los sojuszu francusko-radzieckiego. Wobec jednoznacznego stanowiska, zajętego przez opinię publiczną, zwolennicy układów z reguły obawiali się poprzeć je bez zastrzeżeń. „Po ratyfikacji układów przez Zgromadzenie — stwierdzali oni — trzeba będzie jeszcze uzyskać akceptację Rady Republiki, a później ponownie przedłożyć je Zgromadzeniu Narodowemu. Trzeba będzie na to tygodni i miesięcy, a w tym czasie przekonamy się o szczerości Mendes-France'a, który zapewnia o swoim pragnieniu rokowań ze Związkiem Radzieckim”.

Argumentacja ta jednak była po prostu jeszcze jednym manewrem, zmierzającym do wprowadzenia w błąd opinii publicznej.

Ta ostatnia zdała sobie przecież z tego sprawę i ogromna jej większość napiętnowała i piętnuje demagogiczną politykę Mendes-France'a, z mocą żądając jednocześnie odrzucenia układów z Londynu i Paryża.

To stanowisko narodu wpłynęło niewątpliwie na obraz życia politycznego Francji w najbliższych miesiącach, zarówno w kraju jak i w parlamencie. W rozpoczynającym się roku 1955 siły pokoju we Francji potężniejsze są niż kiedykolwiek. Ze sprawami polityki zagranicznej ściśle łączą się też zagadnienia wewnętrzne. Plące pozostają niskie i wzmacnia się jedność związkowa. Liczne strajki i akcje rewindykacyjne kończą się zwycięsko. Urzędnicy i nauczyciele walczą nadal o podwyżkę swych zarobków. Problem mieszkaniowy nie doczekał się prób rozwiązania. Obciążenia podatkowe, które winny były zmniejszyć się po rozjemie w Indochinach, są równie dokuczliwe jak przedtem i mogą zwiększyć się jeszcze bardziej w wyniku ratyfikacji układów. Afryka północna wreszcie jest widownią krwawych pacyfikacji, przypominających społeczeństwu francuskiemu początki „brudnej wojny” w Wietnamie.

Przyczyny, dla jakich w roku 1954 naród francuski rozwijał coraz potężniejszą walkę przeciw polityce amerykańskiej, nie uległy zmianie. Francuskie siły pokoju, których wzrost w roku ubiegłym pozwolił na zawieszenie broni w Indochinach i odrzucenie EWO, wkraczają w rok nowy w pełni świadome swego znaczenia i wzrastającej siły.



W Paryżu otwarto wystawę obrazującą okrucieństwa hitlerowców i walkę narodu francuskiego. Na zdjęciu: fragment panoramy obozu śmierci w Buchenwaldzie.

TOAST

EDMUND OSMANCZYK

Przyjaciele!

Późną jesienią 1954 r. byłem w pewnym cudownie młodym mieście i przeżyłem tam jedno z najpiękniejszych ludzkich wzruszeń.

Miasto nosi starodawną nazwę Szczecin. Jest to, jak wiecie, wielki port w ujściu Odry, tuż przy granicy polsko-niemieckiej. Port został odbudowany i rozbudowany po wojnie, a w tym samym czasie miasto poczęło rozkwitać w jedno z najpiękniejszych osiedli. Nie myślę o architekturze portowych nabrzeży, magazynów, stocznii, ani o planach nowych dzielnic, które powstaną w następnych latach, ani o bogactwie drzew: buków, klonów, topoli, platanów, magnolii, które stroją ulice Szczecina. Myślę o mieszkańcach tego pogranicznego miasta, z których więcej niż połowa to obywatele poniżej lat 18 — grubo ponad stu tysięcy czarna czereda dzieci i młodzieży. Najmłodsze przeciętne wieku miasto w Polsce i w Europie — mówią statystycy. To miasto urzeka młodością — mówią przybysze. Najmilszy kłopot — mówią trzydziesto-czterdziestoletni radni stolicy nadbałtyckiego województwa — to

nieustanna konieczność zwiększania liczby żłobków, przedszkoli, podstawowych szkół, liceów i — wyższych uczelni. Tych ostatnich jest już pięć, a przed wojną nie było żadnej.

Otóż w tym cudownie młodym mieście, późną jesienią 1954 r. miałem spotkanie w Osiedlu Akademickim z młodzieżą studiującą bądź medycynę, bądź agronomię, bądź chemię, bądź budowę maszyn, bądź ekonomię, czy wreszcie pedagogikę. Przewidywałem, że spotkanie potrwa godzinę, półtorej, trwało tymczasem prawie trzy i jeszcze nie powiedziałem sobie wszystkiego. Setki par młodych oczu żarzyły się rakietami myśli, które rozpalala dyskusja.

A rozważaliśmy sprawę historycznej doniosłości: jak wykorzysta u nas młode pokolenie energię atomową dla pokojowego rozwoju Polski?

Uśmiechacie się, przyjaciele? No, to posłuchajcie. W dyskusji przyjęliśmy następujące założenia:

W roku 1954 nastąpił rozruch pierwszej w świecie siłowni atomowej, a tym samym marzenie ludzkości wyzwolenia nieograniczonych zasobów energetycznych materii i wprężnięcia ich w służ-

W SALI KOLUMNOWEJ



Delegaci Zjazdu udają się na obrady. Od lewej: poeta Asiejew i autor popularnych pieśni — Isakowski.

W CZASIE obrad II Zjazdu Pisarzy Radzieckich przybyła na salę delegacja pionierów. Dzieci wygłosiły żartobliwy wierszyk, w którym wyliczyły, czego żądają od pisarzy. A zaczynał się ów wierszyk mniej więcej tak: Zaden pionier nawet we śnie nie widział jeszcze tylu pisarzy, zebranych w jednej sali...

Nie było w tych słowach przesady. Na Zjeździe byli obecni twórcy „Cichego Donu” i „Burzy”, „Dni i nocy” i „Młodej Gwardii”, „Cementu” i „Opowieści o prawdziwym człowieku”. Obok Korniejczuka i Leonowa, Katajewa i Marszaka, obok autorów, których dzieła znane są w dziesiątkach krajów, uczestniczyli w Zjeździe pisarze wielu narodowości Związku Rad, pozbawionych przed Rewolucją nawet własnego piśmiennictwa.

Od dni Pierwszego Zjazdu Pisarzy, na którym przewodniczył jeszcze Maksym Gorki, upłynęło lat dwadzieścia. Dlatego na obradach II Zjazdu wiele miejsca poświęcono omówieniu dorobku literatury radzieckiej w minionym okresie, stanowiącym ogromny etap w życiu narodów ZSRR. Zanalizowanie tego dorobku stało się na Zjeździe punktem wyjścia do dyskusji na temat dalszych dróg rozwojowych literatury Związku Radzieckiego.

Na Zjazd zwrócone były oczy nie tylko milionów ludzi radzieckich, żywo interesujących się zagadnieniami kultury, ale także miłośników literatury radzieckiej i ludzi postępu na całym świecie. Dzienniki, nawet te, które niewiele miejsca poświęcały zagadnieniom literackim, w dni Zjazdu przynosiły obszernie sprawozdania z moskiewskiej Sali Kolumnowej, gdzie obradowali ra-

dzieccy pisarze. Referaty zjazdowe, pismo powitalne KC KPZR, wystąpienia dyskutantów, przemówienia zagranicznych gości Zjazdu — były przedmiotem ożywionych dyskusji w Związku Radzieckim i za jego granicami.

To ogromne zainteresowanie Zjazdem było wynikiem doniosłej roli artystycznej i poznawczej, jaką pełni literatura radziecka. Dzieła pisarzy radzieckich — proza i poezja, dramat i scenariusz filmowy, publicystyka i reportaż — znajdują coraz to nowych odbiorców i oddziaływają na nich coraz to mocniej. Słynne powieści Stalinskie o „inżynierach ludzkich dusz” nie straciło nic ze swej aktualności.

Delegaci-pisarze zdawali sobie sprawę z doniosłości Zjazdu, w którym uczestniczą. Dlatego obrady — w czasie których nie brakło gorących dyskusji i ostrych polemik — cechowała troska o dalszy ideowy i artystyczny rozwój literatury radzieckiej. Dyskutanci niejednokrotnie zwracali uwagę, że poziom kulturalny społeczeństwa radzieckiego podnosił się szybciej niż poziom literatury, i pisarze winni wiele wysiłku włożyć, by sprostać rosnącym wymaganiom czytelników.

Problematyka poruszana na Zjeździe była bardzo wszechstronna. Mówiono o teorii literatury i zagadnieniach krytyki, o sprawach warsztatu pisarskiego i działalności Związku Pisarzy, o przekładach i kontaktach z postępową literaturą świata, o współpracy pisarza z teatrem i filmem, wydawnictwem i gazetą. We wszystkich tych dziedzinach, tak ważnych dla dalszego rozwoju literatury, dokonano na Zjeździe poważnego kroku naprzód. Miarą tego postępu staną się nowe, doskonalsze dzieła, nowe osiągnięcia twórcze radzieckich pisarzy.



W II Zjeździe Pisarzy Radzieckich uczestniczyło w charakterze gości wielu postępowych twórców z całego świata. Na zdj. — Pablo Neruda.



Zdjęcia: „Ogoniok”

Prezydium Zjazdu Pisarzy. Na trybunie sekretarz KC KPZR P. N. Pospielow, który odczytał pismo powitalne Komitetu Centralnego KPZR do uczestników II Zjazdu Pisarzy Radzieckich.

TOAST

Dokończenie ze str. 3

bę człowieka zostało po raz pierwszy w dziejach zrealizowane. W roku 1945 w Stanach Zjednoczonych ujawniono niszczycielską siłę energii atomowej. W roku 1954 w Związku Radzieckim — siłę pokojową. Zaczęła się zatem nowa epoka w rozwoju cywilizacji ludzkiej. I przyszły historyk, ustalając najważniejsze daty wieku XX, dwie daty uzna za przełomowe dla ludzkości — rok wyzwolenia energii społecznej dla dobra wszystkich narodów — rok 1917, i rok wyzwolenia energii materii dla pokoju wszystkich narodów — rok 1954. Te dwie daty, to chwała XX wieku.

Amerikanie z uporem wsteczników straszą siebie i świat niszczycielską siłą atomową.

Ludzie radzieccy z uporem ludzi postępu zmieniają energię atomową w siłę pokoju.

Czyż trzeba zatem odpowiadać na pytanie do czego przygotowywać ma się studiująca młodzież — czy do śmierci w atomowych tornadach, czy do życia w epoce atomowych siłowni, w epoce, która już się rozpoczęła w pierwszym kraju socjalizmu?

Odpowiedź jest jedna tylko: im szybszy będzie rozwój pokojowej energii atomowej, tym większa będzie potęga obozu pokoju i tym mniejsze będą

szanse wrogów ludzkości, pragnących zahamować wojną rozwój społeczny i cywilizacyjny narodów.

Wreszcie wniosek praktyczny: od roku 1954 można już przy rozwoju obecnym techniki przewidywać, jak w ciągu życia jednego pokolenia, tego, które teraz studiuje na wyższych uczelniach, zmieni się cywilizacja, mając po raz pierwszy niewyczerpane źródła energii termojądrowej. Przyjdą już wkrótce pięćdziesiątka, w których planiści postawią budowniczym zadania w oparciu o atomową energię. Pięćdziesiątka te nie będą monopolem Kraju Rad, lecz własnością wszystkich krajów obozu pokoju, jako że Kraj Rad to nie Stany Zjednoczone czy Anglia, lecz socjalistyczny kraj, który każdą swą nową zdobyczą dzieli się z wolnymi narodami wyzwolonymi od wyzysku wsteczników.

Cóż więc dziwnego, że w cudownie młodym Szczecinie późną jesienią 1954 rozgorzała dyskusja, jak należy przygotować się do tych wielkich pięćdziesiątek, które na pewno przyjdą, i jak zmieniać się będzie w następnych latach dwudziestu życia, ot, choćby tej ponad stutysięcznej czeredy dzieci, młodzieży pięknego portowego miasta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej?

Wiele było głosów, nie powtórzę wszystkich, cytuję tylko co wymowniejsze:

— Pierwsza rzecz — mówił student Wyższej Szkoły Inżynierskiej — trze-

ba wykształcić kadrę techniczną do obsługi siłowni atomowych i maszyn poruszanych energią atomową...

— Mój dziad był górnikiem — mówił student Wyższej Szkoły Ekonomicznej — mój ojciec jest górnikiem, ja też pracowałem pod ziemią i wiem, jak tam ciężko, bez słońca, w tłoczonym z góry powietrzu. Pierwsza rzecz — to wydobyć górników spod ziemi, bo wtedy węgiel nie będzie nam potrzebny...

Sprzeciwił się ostatniemu zdaniu natychmiast student chemii. — Węgiel będzie potrzebny. Tylko nie na spalanie go bezpowrotnie w piecach i kotłach, lecz na surowiec dla nas, chemików. Cuda będziemy robić z węgla, gdy będziemy mogli go przetapiać w tysiące produktów atomową energią...

— A ja myślę — dodaje młody — że wtedy powstaną i nowe lekarstwa i znajdzie się takie promienie, które zabijają raka...

— Czytałem, że po kilku latach od wybuchu bomby atomowej w Hiroszynie ziemia stała się nadzwyczaj urodzajna — mówił młody agronom. — To znaczy, że można by znaleźć sposób, który by oszczędził nam nawożenia pól. Myślę, że można by jakimś niegroźnym dla człowieka i żywizny rozpylaniem radioaktywnych cząstek podawać urodzaje. Oczywiście będzie to możliwe tylko na wielkich spółdzielczych polach. Poletka indywidualne to nie na naszą epokę...

Tak toczyła się dyskusja. Ogarniała

coraz nowe dziedziny życia i rozkwitała realnymi marzeniami młodych ludzi, których udziałem będzie nowa epoka cywilizacji.

W kilka dni później dowiedziałem się, że w tym samym czasie odbywała się w Izbie Gmin w Londynie debata nad „nieszczęsnymi skutkami” energii atomowej dla ludzkości. Pamiętający wiktoriańskie czasy bezkarnego podbijania świata, sędziwy imperialista Winston Churchill, wspomniawszy jak obosieczną stała się broń atomowa, westchnął i z głębi serca wyrzucił słowa:

— Jestem przekonany, że lepiej byłoby, aby nigdy energia atomowa nie została wynaleziona...

A z ław poselskich rozległy się ławne przytakiwania:

— Nieszczęsny był to dzień!

Przyjaciele!

Groźny dla ludzkości niszczycielską siłą atomową rok 1945, nad którego krótkotrwałym triumfem załkała tak wzruszająco angielska Izba Gmin, został przekreślony rokiem 1954 przez państwo, które powstało w roku 1917.

Toteż wydaje mi się, że na progu Nowego Roku należy uczcić wspólnym toastem rok 1917 i rok 1954.

I wypijmy zdrowie młodzieży, która żyje już w epoce wyzwolenia energii ludzi i materii, w epoce wyzwolenia takich zasobów energii, które są w stanie zapewnić narodom pokój i wolność!

EDMUND OSMANČZYK



LUDWIK SOLSKI

KIEDY nadeszła wieść o śmierci Ludwika Solskiego, z powszechnym serdecznym żalem zmieszało się uczucie jakby pewnego zdziwienia. Solski nie żyje! Ten człowiek, który był uosobieniem żywotności i energii, niewyczerpanej jeszcze w setnym roku życia, do ostatnich niemal miesięcy... Pamiętaliśmy go z niedawnego jubileuszowego przedstawienia „Zemsty” w Warszawie. Jak pysznie jeszcze wtedy grał starego Dyndalskiego, jak rządził się — wedle swego zwyczaju — na scenie! I jaką mowę palną potem do publiczności...

Pojęcie tej niezwykle żywotności tak się zrosło z jego osobą, że już niemal spowszedniało. Nikt się już nie dziwił patrząc na stuletniego Solskiego zważym krokiem przemierzającego planty krakowskie czy deptak krynicki. Nikogo to nie zdumiewało, kiedy przekroczywszy dziewięćdziesiątkę latał samolotem, by tego samego dnia grać w dwu przedstawieniach, gdy tłukł się na motocyklach w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu, kiedy od razu stanął ochotczo do pracy. W jakże trudnych ówczesnych warunkach komunikacyjnych i bytowych przewędrował całą niemal świeżą budującą się Polskę! Grał na Górnym Śląsku i w Jeleniej Górze, w Poznaniu i Olsztynie, gościł w leżącej wtedy w gruzach Warszawie, zjawiał się w miejscowościach, do których dotąd żaden teatr nie docierał. Instruował amatorów w Tarnowie, występował w Bielsku i Cieszynie, wyjeżdżał na czeski Śląsk. W końcu osiadł w Krakowie, by tu nie zadowolić się swymi dawnymi rolami, ale sięgnąć po nowe, m. in. w pierwszej granej po wojnie w Polsce sztuce radzieckiej „Rozsjanach” Simonowa. W tej rozrzutności sił i talentu był cały Solski!

Może nawet w owych wędrówkach po Polsce przypominały mu się stare dzieje aktorskiej włóczęgi o głodzie i chłódzie, od której zaczynał swą karierę. Dawne to czasy... Rzeczywiście możemy pamiętać, że najstarsi ludzie ich nie pamiętają. Aby poznać początki działalności artystycznej Solskiego, trzeba już sięgać do historii, bo wymykają się one wspomnieniom żyjących. Najwyżej niektóre tylko szczegóły z dziejów tych lat przechodziły z pokoleń na pokolenia aktorskie wraz z dziesiątkami anegdot związanych z tym człowiekiem — fenomenem i unikatem w historii teatru polskiego i nie tylko polskiego.

Już wtedy zapewne zdobył Solski podstawy swego rzemiosła aktorskiego, które potem opanował tak znakomicie. Już wtedy zdumiewał swoją upartą pracowitością, dzięki której osiągnął tak wybitne miejsce w teatrze polskim. Gra wszystko: starców i młodzieńców, wesolków i tragiczków, niedołęgów i szaleńców. Tańczy i śpiewa. Wypada wystąpić w operetce — Solski jest gotów: obejmuje wśród wielu innych np. partię Alfreda w „Zemście Nietoperza”. A może opera? Proszę bardzo — Solski śpie-

wa Jontka w „Halce”. Wybija się jako doskonały tancerz, który potem będzie nieraz budził podziw swymi hołubcami na scenie. Opracowuje układy choreograficzne. A poza tym, jak to w ówczesnych trupach prowincjonalnych bywało: w razie potrzeby podmalowuje spłowiełe dekoracje, sam się charakteryzuje, poznaje wszystkie najdrobniejsze arkana sztuki i techniki teatru. Nic co teatralne nie było mu obce. Przydało mu się to potem, kiedy dyrektował w Krakowie i Warszawie.

No, i podpatruje ludzi i życie. To także mu się później przyda. W ciągu osiemdziesięciu lat pracy aktorskiej Solski żył na scenie życiem około półtora tysiąca ludzi. Tyle grał ról — najróżniejszych. A zawsze przeistaczał się nie do poznania, wzbogacając wiedzę o człowieku. Z grubego Falstaffa zmienił się w cienkiego Chudogębę; z bolesnego tragizmu Horsztyńskiego przechodził w zwyrodnienie Fryderyka II; skakał na weselu w „Małce Szwarcenkopf” i niemo przesunął się po scenie — przejmujący cień w „Warszawiance”. Był niesamowitym Harpagonem i zdeptanym łachmanem ludzkim w „Judaszu” Rostworowskiego. Grał Iwana Groźnego, Dymitra Samozwańca, Kaligulę, Kościuszkę, Napoleona, Mickiewicza, Lelewela, Łukasieńskiego...

Przy tej niebywalej wszechstronności Solski każdą z tych ról — i mnóstwem innych jeszcze — wbił się w pamięć widzów przez wyrazistość gestu i charakterystyki, przez starannie obmyślaną i opracowaną, a zawsze bardzo mocną ekspresję.

Jako aktor był najpowszechniej znany i kochany. Ale historia teatru notuje jeszcze:

SOLSKI. Fledy był dyrektorem w Krakowie, postawił tam teatr na bardzo wysokim poziomie i wprowadził na scenę polski repertuar klasyczny i współczesny.

SOLSKI pierwszy w tym mieście zastąpił dawne fabryczne szablony dekoracyjne prawdziwą scenografią.

SOLSKI opracowywał i adaptował wiele utworów dramatycznych, które być może bez tego nie mogłyby się ukazać na scenie. Sam nawet napisał jeden obrazek ludowy ze śpiewkami pt. „Dożynki”.

SOLSKI był pierwszym u nas reżyserem w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. O jego reżyserowaniu krąży również mnóstwo anegdot. Sarkano na jego apodyktyczność, narzucanie aktorom koncepcji każdego szczegółu, na jego żelazną rękę i opętającą pracowitość, której niełatwo było sprostać. Jednakże z jego szkoły wyszło wielu wybitnych aktorów, którzy z wdzięcznością wspominali trudne, ale owocne lata terminowania pod jego kierunkiem.

Wiele jest tytułów do sławy Solskiego i wiele jego zasług. Toteż w Polsce Ludowej otrzymał on najwyższe nagrody i odznaczenia, które uwieńczyły ogromny, zdumiewający trud jego życia.

Nad jego świeżym grobem cały naród składa hołd człowiekowi wielkiej pracy i talentu.

AUGUST GRODZICKI



ZOFIA NAŁKOWSKA

17 GRUDNIA zmarła wybitna polska pisarka Zofia Nałkowska. Żal, jaki wiadomość ta wywołała w sercach czytelników jej dzieł, również był miarą wielkości jej pisarstwa. Należała bowiem Zofia Nałkowska do rodziny szlacheckich twórców współczesnej kultury, do tych, którym nie jest obce nic co dotyczy człowieka, i którzy ludziom wiele mają do powiedzenia. Kiedy umierała, miała 69 lat. Nie tak dawno obchodziła 50-lecie swojej twórczości i wtedy we wzruszającym przemówieniu powiedziała to, co było najbardziej niezłomną z jej zasad i najświętszym przekonaniem:

„Najbardziej ukochaną istotą... jest dla mnie człowiek...”

Szła też ku człowiekowi w imponującym pisarskim trudzie, który uczynił z niej jedną z najwybitniejszych przedstawicieliek współczesnego polskiego piśmiennictwa. Ta droga nie była najłatwiejsza, ani najbardziej wygodna. Podporę znajdowała jednak w tych, których miłowała i którym zawsze mówiła prawdę, choćby była ona i gorzka i niewesoła. Podporę znajdowała w ludziach. Znajdowała ją również zapewne we wspomnieniach z dzieciństwa, gdyż jej dom rodzinny był skupiskiem najszlachetniejszej elity polskiej demokratycznej inteligencji, ojciec jej zaś — Wacław Nałkowski, wybitny geograf i socjolog — był jednym z tych, którzy w czasach swoich nie ustawali nigdy w walce o piękną i życzliwą przyszłość ludzką ziemię. W ubiegłym jeszcze roku, wspominając ojca w wydanej właśnie książce, pisała, że „dla niego trwanie świata nie miało kresu, a droga w przyszłość była drogą do sprawiedliwości”. W takiej więc atmosferze rozpoczynała twórczość pisarską. W latach 1901—1902 ukazały się jej pierwsze poezje, w latach 1906—1907 — pierwsze utwory prozą, m. in. „Księżę” i „Lodowe Pola”. W piśmiennictwie panowały wówczas estetyzujące mody fin-de-siècle'u, pisarka wyzwała się z nich jednak coraz bardziej. Podjęła niebawem pierwsze próby urealnienia swych postaci, wprowadzenia do swych książek problematyki świata, który był tuż obok i tuż obok marzył i cierpiał. Wojna stała się zresztą dla pisarki ogromnym wstrząsem. „Pisałam — wspominała — o sztuce, o piękności filozoficznego myślenia... Gdy wybuchła wojna... świat okręcił się w swych posadach. Ujrzałam wtedy czym jest drugi człowiek, czym są ludzie. Zobaczyłam rzecz mało mi dotąd znaną — cudze cierpienie... Swoje myśli o

wojnie, najgłębsze przeświadczenie o tym, że wojna jest straszliwym złem, wyraziłam w książkach „Hrabia Emil” i „Tajemnice krwi”.

Po pierwszej wojnie światowej, w latach 1918—1939, wydała również m. in. tomy opowiadań „Dom nad łąkami” i „Ściany świata” oraz powieści „Niedobra miłość”, „Niecierpliwi”, „Granica”, „Romans Teresy Hennert”. Artystyczna dojrzałość tych utworów, bogactwo żywej treści i precyzyjność formy, mistrzowską ręką nakreślone tło społeczne i wspaniały, czysty i prosty język — wszystko to postawiło Zofię Nałkowską w rzędzie czołowych prozaików. Od okresu „Księżca” przebyła pisarka drogę ogromną. „Granica” jest znakomitą literackim studium społecznym, „Romans Teresy Hennert” — głosem protestu przeciw moralnej duszności, jakiej patronowały rządy przedwrzesniowe, nienawistne wszystkim, którzy podobnie jak Zofia Nałkowska i jej ojciec widzieli drogę w przyszłość jako drogę do sprawiedliwości. A później? „Wojna — straszliwe zło” — znowu zwała się na Polskę i Europę. W noc hitlerowskiej okupacji Nałkowska cierpiała i snuła nadzieje wraz ze swym narodem, a później wraz z nim witała z radością dzień wyzwolenia. Po wojnie napisała m. in. powieść „Węzły życia”, książkę wspomnień o ojcu i tom pt. „Medaliony”. Osiem tych opowiadań wstrząsnęło tysiącami czytelników i pozostało trwałym dokumentem straszliwej kaźni, jaką hitleryzm zgutował narodowi. „Medaliony” — wstrząsająca książka o zbrodniach faszyzmu — ma bierają dziś znowu nieprzeczuwaną aktualności. Dzieci z Oświęcimia zdają się bowiem zwracać ze stronicy książki do ludzi na całym świecie. Te dzieci, które „wiedziały, że mają umrzeć, ...płakały i wołały o ratunek:

— My nie chcemy do gazu! My chcemy żyć!”

Zofia Nałkowska przekazała namwołanie tych dzieci, podobnie jak przekazała nam wszystko, co dotyczyło wstrząszeń jej serca i losu człowieka.

Odeszła w pełni sił twórczych, powszechnie szanowana, otoczona miłością, żegnana z żalem. W ostatnich latach otrzymała wiele wysokich odznaczeń państwowych, wyróżniona została również nagrodą państwową za całokształt literackiej twórczości. U kresu drogi czekało ją więc powszechne uznanie narodu, uznanie zasłużone i zapowiadające jej dziełom długi żywot w ludzkich sercach.

ARTUR MIEDZYRZECKI

TAKIE SOBIE MIASTKO

K. DZIEWANOWSKI

Zdjęcia: W. PRAŻUCH

„...W nocy słyszy się tylko wycie wilków i Kaszubów. Polish spoken here...”

Bismarck w liście do siostry w 1861 roku.

* * *

„...aby powiaty Lębork i Bytowo oraz pogranicze powiatów Słupsk i Miastko nie przypadły Polakom jak dojrzały owoc...”

Poufny memoriał Prezesa Rejencji Koszalińskiej Kurta Cronau wystosowany 2.5.1926 do władz centralnych.

* * *

„W skład nowych rad narodowych wszystkich szczebli wybierać będziemy najlepszych, najofiarniejszych ludzi pracy Ziemi Miasteckiej. W dniu 5 grudnia pójdziemy wszyscy ze spoleni w szeregach Frontu Narodowego...”

„Wiadomości Miasteczkie” dn. 16 października 1954 r.



CZĘŚĆ PIERWSZA — O DUCHACH

AUTOBUS idący z Koszalina do Miastka zjeżdżał właśnie z jednego z licznych po drodze pagórków, gdy nagle coś z hukkiem wystrzeżło. Zatrzymaliśmy się. Kierowca wysiadł, by zbadać uszkodzenie, po czym wsadził głowę przez otwarte drzwi i oświadczył: dobranoc. Będziemy tu nocować.

Było już bardzo szaro. Do Miastka pozostało jeszcze dwadzieścia kilometrów wygodnej szosy, tyle, że mocno pofalowanej. Okolica była pusta, gęstniejącej szarości nie zakłócało żadne światło. Zdjąłem pasek od płaszcza, przyczepiłem doń teczke i zarzuciłem ją na plecy. Ruszyłem ostrym krokiem, prowadzony poprzez lasy jaśniejszym niż one asfaltowym tropem.

Wkrótce zrobiło się zupełnie ciemno. Minęły mnie dwa samochody i jeden motocykl, jadące jednak w przeciwnym kierunku. A wokół nic, tylko lasy. Wertowałem w pamięci wszystko, co słyszałem o Miastku. Było tego bardzo niewiele: wzmianka w przewodniku

po ziemi słupskiej, parę linijek w dwóch tomach wydawnictwa „Pomorze Zachodnie”. Słyszałem także od jednego „wtajemniczonego”, że tam właśnie miała się jakoby rozgrywać akcja filmu „As wywiadu”. No i wiedziałem wreszcie, że w jednej ze szkół powiatu, w Leśnym Technikum mieszczącym się w starym pałacu — straszy. Poza tym ani ja, ani ci, których o to pytałem, nic nie wiedzieli o Miastku.

Zainteresowała mnie kiedyś nazwa — Miastko, aż tak zwyczajna, że nic o niej się nie da powiedzieć, ani też niczego sobie wyobrazić. Nie taka godna jak sędziwe nazwy Sandomierza, czy Jarostawia, ani dźwięczna jak Lidzbark, ani szanowna jak Kazimierz. Nic z tego — po prostu Miastko, tak jakby nazwać wieś — Wioską, czy ulicę — Uliczką.

Po trzech i pół godzinach marszu ukazały się przede mną, w głębi nocy, światła. Nad położonym w zakłębieniu horyzontu Miastkiem stała różowa luna. Spragnionemu kolacji i łóżka wydała się ona luną wielkiego miasta. Marzyły mi się jasne, mimo mroku, ulice, pięciopiętrowy hotel z lustrzaną salą restauracji i kelnerami we frakach, którzy tylko czekają, by podać mi herbatę i sznycel po wiedeńsku.

To, co znalazłem, wyglądało trochę inaczej. Hotele był tylko jednopiętrowy, a w gospodzie, położonej na drugim końcu miasta — szynclli właśnie zabrakło. Później okazało się, że śladów po filmowym „Asie wywiadu” nie ma co szukać, ale można znaleźć ślady prawdziwych, choć nie tak fortunnych asów wywiadu. Można również znaleźć ślady strachów ze szkoły w starym pałacu.

W WARCINIE STRASZY

Następnego dnia pojechałem do Warcina — kilkanaście kilometrów od Miastka.

Do pałacu w Warcinie zajeżdża się przez wysoką bramę, za którą widać obszerny podjazd, schody i wielki, żółty budynek. Zaraz za frontowymi drzwiami biegnie wysoko sklepiony korytarz. Na jego ścianach wiszą zakurzone łby dzików i saren, pojedyncze rogi kozłów i rozgałęzione szeroko wieńce jeleni. Drewniane schody prowadzą do góry, po bokach zaś korytarza umieszczone są drzwi do dalszych sal — dębowe i ciężkie. Światła w pałacu jest mało i odnosi się wrażenie, że nawet wielkie weneckie okna nie są w stanie rozproszyć panującego tu mroku.

Na dole w korytarzu wisi rozkład zajęć Technikum Leśnego i gazetki ścienne. Dużo zdjęć i rysunków, wszystko to bardzo żywe stanowi zdecydowane przeciwieństwo całości pałacu.

Na piętrze mieszczą się sale sypialne. Orowadzający mnie po pałacu chłopak w zielonej, leśniczej czapce pokazuje jedną z nich i mówi:

— Tutaj śpiimy. Jest dużo miejsca, wygodnie, tylko...

Widzę, że chłopak chciałby coś powiedzieć, ale się wstrzymał, a może nie wie, czy to wypada.

— Tylko co?

— A bo wie pan, ja w to nie wierzę, ale niektórzy mówią, że tutaj... straszy.

— Straszy? Co?

— A bo ja wiem... Coś podobno chodzi i trzaska, jakby łupało orzechy. Ja tam nie wiem, bo nie słyszałem.

Ducy! Nie bardzo w nie — oświadczył — wierzę, ale zdaje sobie sprawę, że coś musiało wpłynąć na wyobraźnię chłopców z internatu, że coś musiało się tu dziać takiego, co wieczorami zaprzęta skore do fantazjowania młode umysły.

NIE RUMMELSBURG, LECZ MIASTKO

Przy głównej ulicy w Miastku stoi duży, dwupiętrowy budynek. Dom ma dwa górne piętra zupełnie wypalone, częściowo ocalał tylko parter. Pożar wydarzył się zeszłej zimy, a Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, które się tutaj mieściło, zostało pozabawione dachu nad głową i musiało się przeprowadzić o parę ulic dalej. Na parterze ocalała tablica ogłoszeń ze sloga-

nem: „Młodzieży! Służba w Ochotniczej Straży Pożarnej to zaszczyt dla Ciebie i pożytek dla społeczeństwa” oraz parę szaf z eksponatami po byłym niemieckim muzeum. Gliniane naczynia, metalowe ozdoby — naszyjniki, klamry, bransolety, trochę narzędzi. Wszystko to znalezione niegdyś na terenie miastkowskiego powiatu. Umieszczone przy eksponatach niemieckie jeszcze napisy informują, gdzie dany przedmiot i kiedy został znaleziony. O tym do kogo należał i kto go wytworzył — ani słowa. Przeoczenie? Nie — polityka.

Był to rok 1938, kiedy Rada Powiatowa w Miastku pod przewodnictwem landrata doktora Reicha opracowała historię powiatu pod tytułem: „Der Kreis Rummelsburg, ein Heimatbuch”. Wielka i gruba, oprawna w płótno, a wydana przez księgarnię Leona Sauniera w Szczecinie, księga zawiera wiele ciekawych, z niewątpliwą sumiennością zebranych informacji. A więc po pierwsze spis nazw, wśród nich zaś: Kolzigów, Bartin, Barvin, Brunnów, Misdow, Rochow, Missow, Pustow, Starkow, Varzin i wiele podobnych. Jeśli chodzi o historię powstania tych nazw i w ogóle o czasy dawne, doktor Reich i sztab jego współpracowników był bardzo wstrząśniętym.

Kto zamieszkiwał teren powiatu miastkowskiego w dawnych czasach? Zdaniem Reicha ziemie te wchodziły w skład „wschodnio-bałtyckiego kręgu kulturalnego” ściśle zaś mówiąc całe Pomorze zamieszkałe było przez „dwie przedgermańskie grupy kulturowe”. Następnie — według „Heimatbuchu” — ogarnęła je „północno-niemiecka kultura, która się swego czasu rozciągała wzdłuż wybrzeża od Odry do Wisły. Jak dalece ta germańska kultura... przenikała także w głąb kraju nie da się jeszcze, na podstawie dotychczasowych znalezisk — ustalić”.

Ja myślę. Przecież „znaleziska” były słowiańskie! I oto mamy wreszcie: „Ceramika zdradza wielokrotnie powiązania z tzw. „kulturą łużycką”. Kultura łużycka — czy to czasem nie Słowianie? Tfu! Na psa urok. Tego słowa ani doktor Reich, ani jego książka nie używali. Ostatecznie, gdy już nie można było inaczej, pisano „Wendowie”.

A tymczasem ziemie miastkowskie, jak i całe Pomorze były w pradawnych czasach słowiańskie. Świadczą o tym wszystkie wykopaliska. W trzecim okresie epoki brązowej (między 1300 a 1100 p.n.e.) całe Pomorze jest już zajęte przez praskośląską ludność kultury łużyckiej, a w V okresie tejże epoki wytwarza się tu wyraźna grupa kaszubska, która przetrwała do dziś.

O SPALONYM SMOKU

Dalsze dzieje Kaszubów były trudne i nie proste, jak nie są proste tutejsze drogi — wszak jedna z nich liczy na 10-kilometrowym odcinku 130 zakrętów. Zjednoczył te ziemie pod swoim panowaniem Bolesław Chrobry, nie na długo jednak. Wtedy bodaj miał siedzieć w lebskich bagnach — na północ od Miastka — smok straszliwy, który pożerał ludzi. Tak przynajmniej głosiły kaszubskie podania. Kto wie — może nie o smoka tam chodziło, lecz o morskich rabusiów, Wikingów, którzy zjawiali się nagle z morza i znikali zostawiając po sobie popiół. Ale kaszubskie podanie mówi także o podłym końcu smoka — spalono go, wzniciając ogromny pożar lasu.

Ponownie zjednoczył plemiona pomorskie pod swoim berłem Bolesław Krzywousty. Rządzili tam wówczas książęta pomorscy, którzy ostatecznie złożyli hołd Władysławowi Jagielle w roku 1390. Przedtem jeszcze, w roku 1329, oddali oni ziemię słupską (w skład której wchodził Miastko) zakonowi krzyżackiemu w zastaw. Uważali powszechnie wówczas panującym zwyczajem, że mają prawo zastawiać, wydzierżawiać, a nawet sprzedawać swoje ziemie komu im się podobało. Zarobili zresztą na tej transakcji, albowiem miejscowej ludności bardzo się nie podobał krzyżacki lombard. Po dwunastu latach rycerze i mieszczaństwo ziemie słupskiej zapłacili książęce należności i wykupili ją od Krzyżaków. A że nie mieli wielkiego zaufania do swoich książąt, przeto wymogli na Bogusławie V, Bar-



Doktor Reich zadał sobie niemało trudu, by w jego książce nie pojawiło się ani razu słowo „Słowianie”...



Przypadek sprawił, że pożar, pochłonawszy gmach, nie zniszczył wykopalisk. A może by je zabezpieczyć?

minie IV i Wacławie uroczysty przywilej, w którym książęta ci zobowiązali się, że nie wydadzą nigdy ziemi słupskiej w ręce Krzyżaków. W tych czasach na terenie dzisiejszego powiatu miastkowskiego osiedlali się liczni rycerze z Polski, jak na przykład Bronisz, który osiadł w Kołczygłowach. Wszystko tam było wówczas polskie — język, kapłani, wojewoda w Słupsku, kasztelani, podkomorowie, stolnicy, wojscy. A co najważniejsze — polska była ludność.

W XV wszakże wieku zaczęło się tu coraz liczniej pojawiać rycerstwo niemieckie, które szukało na wschodzie ziemi i łatwych łupów. Później, gdy Pomorze popadło w zależność od margrabiów i elektorów brandenburskich, miejscowej ludności kaszubskiej zaczęło się wiesć coraz gorzej. Ogromna większość kraju pozostawała jednak nadal polska.

W roku 1780 niemiecki pastor Hacken pisał: „Minęło już nieomal 600 lat, jak Niemcy wypierają Kaszubów z ich dawnych siedzib coraz bardziej na wschód... Wielka duma narodowa Kaszubów jest główną przyczyną, dla której stawili czoła zupełnemu wygładzeniu ich sarmackiego piemienia. Ta duma nie pozwala im w jakikolwiek sposób zmieszać się z niemiecką krwią, a to tym więcej, że uważają Niemców za zaborców swej tutejszej ojczystej ziemi”.

Coraz gęściej osiadali w powiecie miastkowskim niemieccy koloniści. Ale próżno szukalibyśmy w książce landrata Reicha wzmianki o uporczywej, choć beznaziejnej walce Kaszubów o ocalenie polskości. Możemy w niej natomiast znaleźć zupełnie pewną wiadomość, że w czasie wojen polsko-szwedzkich, dokładnie dnia 11 czerwca 1657 roku, polskie wojska zabrały Jakubowi Habke 2 konie wartości 30 talarów oraz zboże i żywność wartości 2 talarów. W tym samym dniu owe nienasycone wojska zabrały Piotrowi Holken 3 konie, 2 suknie kobiece i jeden płaszcz, dwa płaszcze męskie, 18 słoików miodu oraz inne przedmioty wartości łącznej 110 talarów. Jurnych i nieczułych na ludzką krzywdę mieliśmy przodków.

Nacisk niemiecki rósł. Wokół osiedlali się Niemcy. Germanizacja sięgała do kościoła, do szkoły, do domu. Żywił niemiecki wzmocnił się, słabli i cofali Kaszubi. W miastkowskim powiecie powstała wielka pruska własność ziemiska, a junkrzy nie chcieli tolerować w swoim otoczeniu ludzi mówiących po polsku. Niedobitki Kaszubów zgrupowały się wówczas w powiatach bytowskim i złotowskim, choć i w pozostałych powiatach Pomorza Zachodniego przetrwali niektórzy, jak szpilki w stogu siana.

Nie powinno nas przeto dziwić świadectwo pozostawione przez rosyjskiego uczonego Hilferdinga, który podróżując po Pomorzu, w roku 1856 tak pisał:

„Jeden z Kaszubów w tym kraju (bytowskim), człowiek wiekowy, słyszał od starych ludzi, że kiedyś mówili tylko po polsku także i w bliższych miejscowościach rummelsburskiego powiatu (Rummelsburg, po słowiańsku Miastko), położonych na zachód od bytowskiego powiatu, jak we wsi Kleczygłowie i Wierszynie. Ale przyszedł cvang” — dodał on — i musiało wszystko, co polskie, być zagubione, a wszystko być po niemiecku. Tak polska mowa musiała ustać”.

„Starsi płakali i lamentowali, oni jeszcze byli Kaszubi, że dzieci musiały się uczyć po niemiecku, ale to nic nie pomogło”.

Ale mylił się rozmówca Hilferdinga. Nie wszyscy zostali Niemcami. Jeszcze w latach 1940—44 pozostali

) Cvang — przymus (niem.).



Upolowane przez Bismarcka dziki i jelenie obok gazetki ściennych koła ZMP przy Technikum Leśnym...

przy życiu Kaszubi nazywali Miastko — Miastkiem, a nie Rummelsburgiem. Tajny zaś raport prezydenta reencji w Pile, napisany 20 grudnia 1937 roku wyraźnie mówi: „Polski robotnik pytał się drugiego, gdzie przebiega granica między Polską a Niemcami, ten zaś mu odpowiedział, że — we Frankfurcie nad Odrą”.

KANCLERZ, MYSZY I LUDZIE

Język niemiecki panował już na ziemi miastkowskiej w mieście i na wsi, gdy nastąpił krach rodziny Blumenthalów. Było to w siódmym dziesięcioleciu XIX wieku. Prusy zwyciężyły właśnie Austrię i szykowały się do wojny z Francją.

Blumenthalowie byli panami Warcina. W ostatnich latach wiodło im się nieszczerólnie. Stary pan Blumenthal, głowa rodziny, zajmował się wówczas gorliwie spekulacją na giełdzie. W roku 1867 postawił wszystko na wybuch wojny z Francją, wierzył bowiem w Bismarcka. Ale wojna w tym roku nie wybuchła. Blumenthal stracił wszystko. Nadszedł więc moment, gdy rodzina stanęła przed koniecznością opuszczenia majątku i wielkiego pałacu. Trafiał się właśnie nabywca, który miał dużo pieniędzy i wielkie znaczenie w świecie. Targów długich nie było i przybył, który sam wyprowadzał w pole królów i ministrów, tym razem nabrany został przez rodzinę podupadłych obszarników. Kiedy wprowadził się już do pałacu, do parku przybyli drwale, którym Blumenthalowie polecieli wyciąć stare dęby. Oburzył się nowy pan pałacu:

— Jakże to tak?

Ale pokazano mu umowę sprzedaży. Nie było w niej mowy o dębach, a że lubił wielkie drzewa, które przywodziły mu na myśl germańską potęgę, przeto ustąpił. Zapłacił więc za każdy dąb z osobna. Stare, słowiańskie drzewa rosły w Warcinie po dziś. Ocalał je człowiek, który kupił Warcino za pieniądze ofiarowane mu przez króla pruskiego, późniejszego cesarza Wil-

helma I, jako wyraz wdzięczności za wierną służbę. Nowym panem pałacu był bowiem „żelazny kanclerz”, postrach Europy i najzaciętszy wróg Polaków, Otto hrabia von Bismarck.

Człowiek ten powiedział kiedyś:

„Jednych przekupię, innych nastraszę, jeszcze innych pobiję i w końcu pozyskam sobie wszystkich prowadząc ich na Francję”.

Powiedział także:

„...wszelka możliwość pogodzenia się z myślą wskrzeszenia narodowości polskiej jest dla Prus wykluczona”.

Taki był Bismarck, wierny obrońca interesów pruskich junkrów, pan na Warcinie.

W narożnej sali urządził swój gabinet. Polecił wyciąć drzewa sprzed okien, by mieć swobodny widok na miastkowskie lasy. Przed domem kazał ustawić zdobyte armaty, by zawsze móc sycić się widokiem pruskiej chwały.

Po śmierci Bismarcka Warcino nadal pozostało we władaniu jego rodziny. Aż nadszedł rok 1945. W pałacu żyła synowa „żelaznego kanclerza”, stara, harda Prusaczka. I oto zbliżał się koniec. Sama, w opuszczonym pałacu oczekiwała cudu, który pozwoliłby jej jeszcze ujrzyć na jawie rodzinne marzenia o panowaniu Niemiec nad światem. Lecz cud nie nastąpił, nadchodzili za to wojska radzieckie i polskie.

W dniu wyzwolenia znaleziono hrabinę martwą w łóżu, w którym się otrula.

Uczniowie Technikum w Warcinie opowiadają, że w sali, w której otrula się hrabina, straszy. Oprawdający mnie chłopak dodaje jednak natychmiast:

— To pewno myszy...

Niewiele pozostało w Warcinie z dawnej prusackiej chwały.

DALSZY CIĄG NASTĄPI

Z B R O D N I A W AMERYKAŃSKIM WIEZIENIU

WILLIAM REMINGTON, 37-letni ekonomista amerykański odsiadujący wyrok w więzieniu w Lewisburgu w stanie Pensylwania, zabity został w dniu 22 listopada w sposób brutalny przez trzech więźniów kryminalnych. Remington odsiadował trzyletni wyrok za „krzywoprzysięstwo”. Skazano go, gdyż podczas rozprawy sądowej kategorię przeczł zarzutem aktu oskarżenia, jakoby w czasie wojny udzielał informacji pewnej kobiecie imieniem Elisabeth Bentley, i jakoby będąc studentem uniwersytetu w Dartmouth wiedział o istnieniu wśród studentów organizacji komunistycznej. Elisabeth Bentley to agent-provokator. Kobieta ta regularnie ukazuje się jako świadek oskarżenia we wszystkich procesach przeciwko postępowej inteligencji amerykańskiej. Jej słowo jest ostatnie. Gdy stanąwszy twarzą w twarz z Remingtonem oświadczyła, że osobiście brała od niego tajne informacje, los jego był przesądzony. Sąd uznał, iż popełnił on zbrodnię krzywoprzysięstwa, nie przyznając się do kontaktu z nią i skazał go na trzy lata więzienia.

Remington był jednym z najzdolniejszych i najlepiej zapowiadających się ekonomistów amerykańskich. Mimo młodego wieku zajmował bardzo wysokie stanowisko w Departamencie Handlu w Waszyngtonie. Był poglądów postępowych, należał do tej grupy inteligencji amerykańskiej, która skupiała się wokół prezydenta Roosevelta i jego „New Dealu”. Uderzając w Remingtona, władze amerykańskie uderzały w erę rooseveltofską, w rooseveltofskie zasady pokojowego współżycia z wszystkimi narodami świata, w nienawistny im rooseveltofski liberalizm.

Do więzienia poszedł Remington w kwietniu roku 1953. Do tego samego więzienia, w którym odsiadywał już karę Alger Hiss, inny współpracownik Roosevelta, także młody, utalentowany ekonomista, współtwórca Karty Narodów Zjednoczonych, skazany również na podstawie zeznań prowokatorów policyjnych na pięć lat więzienia. Mimo że ci dwaj byli więźniami politycznymi, posadzone ich do wspólnych cel z kryminalistami. Żadne wieści o losach Remingtona nie przenikały przez grube mury

więziennic. Ale o tym, jaka musiała być atmosfera, w której człowiek ten odsiadywał swoją karę, świadczą nieliczne zresztą i niechętnie wypowiedzi dyrektora więzienia i kilku strażników, które prasa amerykańska podała natychmiast po jego śmierci.

Remington napadnięty został przez współwięźniów, skazanych za kradzież samochodów. Strzaskali mu głowę cegłą zawiniętą w pończochę. Spał, gdy spadło nań pierwsze uderzenie. Był to ponad wszelką wątpliwość napad przemyślany i uplanowany. Znaleziono go nieprzytomnego z rozbitą czaszką na podeście schodów. Z tajemniczych przyczyn, znanych tylko dyrekcji więzienia, dopiero w trzydzieści godzin po napadzie sprowadzony z zewnątrz chirurg dokonał operacji. Było jednak za późno. Remington zmarł, nie odzyskawszy przytomności i nie wypowiedziawszy słowa. Nie jest wykluczone, że czekano ze sprowadzeniem pomocy lekarskiej do chwili, kiedy było rzeczą pewną, że z ust jego nie padnie już ani jedno słowo.

Żona Remingtona, zamieszkująca z osiemnastomiesięcznym synkiem na Long Island, zawiadomiona została telefonicznie o śmierci męża przez kapelana więziennego. Na wieść o zbrodni oświadczyła: „Śmierć jego jest nie tylko moją osobistą tragedią, lecz tragedią całego narodu amerykańskiego”.

Dyrekcja więzienia usiłowała zrzucić odpowiedzialność za mord na „antykomunistyczne nastroje” wśród więźniów. Kłam temu zadał Alger Hiss, który nazajutrz po zamordowaniu Remingtona skończył odsiadywanie kary i opuścił mury więzienia w Lewisburgu. „Więźniowie — oświadczył Hiss — byli do głębi wzburzeni okolicznościami śmierci Remingtona”. Morderstwo nie było więc „spontaniznym odruchem”, lecz z premedytacją przygotowaną zbrodnią trzech kryminalistów. Z czyjego działali poduszczenia — do tąd nie wiadomo.

Adwokat Remingtona dodał od siebie, że wie, iż w ciągu ostatnich dwóch miesięcy szafka z rzeczami Remingtona została czterokrotnie obrabowana, podobnie jak szafki jego trzech współtowarzyszów. Spalono mu także materac. „Jest to rezultat zwykłej walki grup gangster-



William W. Remington

skich w więzieniu — dodał niefrasobliwie. — W każdym więzieniu istnieje podziemie”.

Echa śmierci Remingtona w reakcyjnej prasie amerykańskiej są bardzo głośne. Ale jest rzeczą pewną, iż znajdują się w Ameryce ludzie, którzy nie spoczną zanim sprawa ta nie zostanie całkowicie wyjaśniona. Jednakże nie ulega wątpliwości, że Remington padł ofiarą nagonki antykomunistycznej, jaką rozpętali w Stanach Zjednoczonych reakcyjni politycy, publicyści, komentatorzy radiowi i telewizyjni.

„Czerwony straszak” antykomunistyczny służy tu jako osłona dla frontalnego ataku na wszystko co postępowe, demokratyczne, pokojowe, dla brutalnego gwałcenia praw obywatelskich i deptania godności ludzkiej.

Śmierć Remingtona otworzy niewątpliwie oczy wielu ludziom w Ameryce i na zachodzie Europy, którzy nie zdają sobie jeszcze sprawy, że pod pozorem „obrony demokracji” przeprowadza się w Stanach Zjednoczonych systematyczną faszystację kraju.

M. M.

Korespondencja własna
„Świata” z Egiptu

Tekst i zdjęcia: FRANCESCO NIGRO

PO DRUGIEJ STRONIE



Przedmieścia Kairu graniczą bezpośrednio z pustynią. Za chwilę Beduin zwinie swój namiot i na czele karawany wielbłądów wkroczy do miasta. Karawana wśród nowoczesnych aut — to widok w Kairze codzienny.

EL AZHARA

TAK WYGLĄDA SALA SZKOLNA „NIEOFICJALNEJ” DZIELNICY KAIRU. ALE NAWET I TAKA PRYMITYWNA SZKOŁA JEST TUTAJ RZADKością...





Nie ma właściwie dnia, który byłby świętem dla wszystkich mieszkańców miasta. Muzułmanie zamykają swoje sklepy w piątek, w sobotę to samo czynią Żydzi, w niedzielę inne grupy wyznaniowe...



W centrum Kairu. Beduini w brudnych burnusach na tle magazynu reklamującego paryską modę.

TRUDNO sobie wyobrazić, jaką mozaiką narodowości, obyczajów, religii jest Kair — miasto o dwu i pół milionach mieszkańców, o obliczu kształtowanym w ciągu wieków przez Anglików, Francuzów, Hiszpanów, Włochów, Abisyńczyków, Ormian i Żydów. Egipcjanie, którzy żyli zawsze na marginesie, traktowani tylko jako obiekt kolonialnych interesów, nigdy nie potrafili narzucić swojej stolicy własnych tradycji kulturalnych i obyczajowych. Jeden rzut oka na ulicę Kairu wiele może powiedzieć; nie ma, na przykład, dnia, który byłby świętem dla wszystkich mieszkańców miasta. W piątek muzułmanie zamykają swoje sklepy, w sobotę to samo czynią Żydzi, w niedzielę pozostałe grupy wyznaniowe. Ortodoksyjny Grek świętuje, podczas gdy protestant pracuje intensywnie, Kopt idzie do kościoła, a Ormianin — do kawiarni. Czarno ubrane kobiety o twarzach zasłoniętych przechodzą obok magazynów, gdzie wystawia się najnowsze modele paryskiej mody, Beduini mieszkają się w tłumie z dżentelmenami w garniturach o angielskim kroju, na rogach ulic tłoczą się karawany wielbłądów, aby przepuścić auto amerykańskie.

Miasto dzieli na dwie części wyniosły budynek uniwersytetu El Azhar. Z jednej strony europejska dzielnica wielkich magazynów, neonów, lokali rozrywkowych, z drugiej — kwatery biedaków, którzy nic nie mają wspólnego z tamtą europejską „cywilizacją”. Uliczki dzielnic robotniczych wypełnia również wielojęzyczny tłum: Turcy, Egipcjanie, Abisyńczycy, Grecy... Mimo to ludzi tych łączy bardzo wiele, łączy ich sprawa wszystkim wspólna: nieustanna nerwowa pogoń za kawałkiem chleba. Wszystko nosi tutaj piętno niepewności jutra. Praca, wypoczynek, jedzenie — cały dramat życia rozgrywa się na ulicach. Oto ktoś znużony położył się na chodniku i zapadł w kamienny sen wśród piekielnego gwaru handlujących...

Reporter zablakany w tym kłębowisku ludzi i spraw musi zadać sobie kilka pytań. W czym właściwie imieniu przemawia rząd Nassera, czyja wyraża ideologię? Nie chodzi tu już tylko o poszczególne grupy wyznaniowe lub narodowościowe. Ale czy nie jest błędem (albo celowym wprowadzaniem w błąd opinii) twierdzenie, iż przemawia on w imieniu całego narodu? Zdaje się, że reprezentuje on tylko niewielką grupę — i to zamieszkującą głównie „cywilizowaną” dzielnicę Kairu. Trudne i skomplikowane są sprawy tego miasta — jak i całego Egiptu — ale czy uczyniono wiele, aby je rozwikłać? W każdym razie rozwiązań należy chyba szukać właśnie tu, w „nieoficjalnej” części miasta, po drugiej stronie gmachów uniwersytetu El Azhar...



Takim oto tramwajem dojechać można do robotniczych dzielnic Kairu, które rozciągają się po drugiej stronie uniwersytetu El Azhar.



Praca, jedzenie, sen — wszystko odbywa się tu na ulicach. Robotnik wypoczywający pod murem ma przed sobą panoramę „cywilizowanego” centrum...

WYPRAWA DO OFLAGU (4)

PIĘKNA HELENA

I ARCHITEKTURA

MARIAN BRANDYS

Rys. KAROL FERSTER

WSAMYM środku Gospodarstwa Hodowlanego Dobiegniewa, tuż przy placu apelowym dawnego Oflagu IIc Woldenberg — stoi niski podługowaty budynek, różniący się nieco kształtem i rozmiarami od innych baraków. Teraz znajdują się w nim jakieś magazyny, czy inne instytucje gospodarcze, których szczegółowego przeznaczenia nie staram się zgłębić. Ale za czasów oflagowych w tej obskurnej budzie koncentrowało się całe życie kulturalne naszego obozu. Tu mieściła się urzędowa przez nas świetlica i biblioteka, a przede wszystkim tu był nasz teatr — wspaniały, niezapomniany teatr woldenberski.

Pamiętam, że po którymś z oflagowych przedstawień przyszedł za kulisy młody, rozpalony do czerwoności „gefangen” i klękając przed kolegami z „dyrekcji” począł ich błagać, żeby mu pozwolili w tym teatrze pracować choćby w charakterze zmiataacza podłóg. Mam nadzieję, że poeta Edward Fisz nie pogubił się na mnie za wyciągnięcie z jego jenieckiej przeszłości tego drobnego epizodu. Wyciągam go po to, żeby przypomnieć, jak silnie działał na wyobraźnię jeniecką mały teatrzyk woldenberski.

Bo teatr Oflagu IIc to nie była pusta igraszka, wynikała z nudy i bezczynności woldenberskiego „pensjonatu”. To był potężny akumulator zasilający naszą gasnącą energię. To był dla naszych zatartych niewolą dusz lek odkażający o mocy przewyższającej wszystkie lekarstwa, znajdujące się w dyspozycji naszych obozowych lekarzy.

Z głęboką wdzięcznością, z prawdziwym wzruszeniem wspominam tę nie liczną grupkę ludzi, którzy — tak samo zgnębieni niewolą jak my wszyscy, tak samo osłabieni, wygłodzeni i podenerwowani — wzięli na siebie ogromny trud codziennego podsycaenia maleńkiego ogniska sztuki, przy którym ogrzewały się serca siedmiu tysięcy uwięzionych za drutami Polaków.

Ten krótki spacer po dawnym obozie nie pozwala mi na dłuższe rozwodzenie się na temat pracy teatru Oflagu IIc. Tak jak w poprzecznych wywiadach, ograniczę się tylko do jednego wspomnienia, najsilniej narzucającego się pamięci. Będzie to historia związana z samymi początkami teatru. Zagrała się ona częściowo w naszym baraku. Dlatego pamiętam ją najlepiej.

Działo się to w pierwszych zimowych miesiącach roku 1941. Zima tego roku dała się dobrze we znaki jeńcom polskim. Była to chyba najcięższa i najsmutniejsza ze wszystkich zim jenieckich. Z upadkiem Francji zaważyły się nasze nadzieje na rychłe zakończenie wojny. Z kraju nadchodziły coraz gorsze wieści o wzmagającym się terrorze hitlerowskim. W obozie trapił nas głód i mróz, a Abwehrabteilung uprzyjemniało nam życie zamykaniem już o czwartej po południu drzwi i okien

dla polskich widzów i nie budzić zastrzeżeń obozowego Abwehrabteilung. A cenzura hitlerowska stawiała żądania ostre. Sztuka miała być dokładnie wypрана z wszelkich akcentów politycznych i aktualnych, nie mogła wyśmiewać życia obozowego, nie mogła... no, słowem, twarzą to był orzech do zgryzienia. Kierownicy nie istniejącego jeszcze teatru myśleli, głowy im puchły, twarze stawały się jeszcze żałośniejsze niż zazwyczaj i niczego nie mogli wymyślić. Aż wreszcie, kiedy utracili już nadzieję, z obstukiwanego na wszystkie strony jajka wykluło się nagle orle piskie. Ktoś wpadł na pomysł, żeby wystawić „Piękną Helenę” Offenbacha, graną na scenach przedwojennych w prześmiesznej przeróbce na komedię muzyczną. Akcja tego utworu, rozgrywająca się — jak wiadomo — w antycznej Grecji, była całkowicie odpolityczniona i odaktualniona, a przy tym jakże atrakcyjna dla widzów. Pomysł wzbudził powszechny entuzjazm. Uznano go za genialny i natychmiast przekazano do realizacji.

Exemplarza komedii oczywiście nikt nie miał. Jedynie w kilku głowach zachowały się fragmenty zabawnej fabuły, piosenek i melodii. Z tych strzępków zaczęto zszywać nową całość, łącąc dziury własną inwencją, dodając własne piosenki, a przede wszystkim przesycając utwór zamaskowanymi aktualnościami obozowymi, które miały być zro-

przez cały obóz Stanisław Gajdeczka i niezwykle utalentowany muzyk amator Jan L., który niedługo potem tak tragicznie i bezsensownie skończył ze swym młodym życiem.

Całe to bractwo wypalało wszystkie barakowe papierosy, zaśmiewało się z własnych konceptów i coraz zuchwalej podszczypywało offenbachowską Piękną Helenę. Swawolna królowa grecka, przyjmując z dobrą wiarą te karesy, piękniała i śmieszyła w oczach. Dzieło rosło na miarę naszych potrzeb. Unikano w nim tylko skrajnie jakichkolwiek aluzji politycznych, gdyż na to Abwehrabteilung miało oko szczególnie wyczulone, a kłopotów cenzuralnych — przynajmniej przed pierwszą premierą starano się uniknąć za wszelką cenę. Praca nad Piękną Heleną wzbudziła ogromne zainteresowanie w całym obozie, a w naszym „uhonorowanym” baraku szczególnie. Głównym kolporterem nowych kupletów i konceptów z przygotowywanej sztuki był dr Józef F., lekarz weterynarii, który potrafił całymi godzinami wylegiwać się na swej pryczy, symulując chorobę serca, byle tylko móc słyszeć co dzieje się w laboratorium literackim w „kąciku Fluka”. Pocziwy Józio F. wskutek tego podśluchiwanie tak sobie zatruł duszę literaturą, że po wojnie bardzo się zdziwiłem słysząc, że mimo wszystko zdecydował się zostać wicedyrektorem reżeni miejskiej w Gdańsku, a nie — dajmy na to — redaktorem jednego z naszych pism literackich.

Dzisiaj trudno mi powiedzieć, czy woldenberska Piękna Helena była rzeczywiście tak piękna jak nam się zdawało wówczas. Zbyt mało już z niej pamiętam. Ale kiedy z trudem i przy pomocy Mariana odtwarzam sobie w pamięci niektóre kuplety króla Menelausa, kiedy znowu widzę Kazia Rudzkiego, jak ze swoją miną „zimnego drania” mówi do szwagra pięknej królowej, Agamemnona:

„Agamemnon? Zaraz pan tu skona!”

Słowacki, podać „Grób Agamemnona!”

Wtedy wydaje mi się, że był to utwór świetny nie tylko w skali obozowej. W każdym razie jedno stwierdzenie można na pewno: jeńcy Oflagu IIc jeszcze przed narodzinami Pięknej Heleny kochali ją tak samo mocno jak antyczni Grecy, którzy przed tysiącami lat szli walczyć za nią pod Troją. Tyłko, że nasza „Troja” nie skończyła się zwycięstwem.

Na kilka czy kilkanaście dni przed premierą, w czasie jednego z ostatnich posiedzeń redakcyjnych, wbiegł do naszego baraku trupio blady kierownik teatru — niezapomniany, genialny por. Bogdan Neumann. Z jego błędnych oczu wywnioskowaliśmy, że stało się nieszczęście.

— Abwehrabteilung nie puszcza sztuki — zaszemrał ze zgrozą barak.

Kierownik teatru, dysząc ciężko, machnął pogardliwie ręką: co tam Abwehrabteilung.

A po złapaniu oddechu rzucił nam w osłupiałe twarze:

— Mussolini wkroczył do Grecji! Rozumiście?!

Zrozumieliśmy. Ta niestychana wieść nie wymagała komentarzy. W śmiertelnej ciszy, jaka zapadła, usłyszeliśmy stuk padającego ciała. To Piękna Helena osunęła się martwa na podłogę baraku. Nie próbowaliśmy jej ratować. Nowa sytuacja wojenna czyniła z naszej „apolitycznej” sztuki najbardziej jadowity paszkwil polityczny. Tylko zupełny szaleńiec mógł marzyć o przemyceniu tego ładunku dynamitu przez cenzurę Abwehrabteilung.

Śmierć Pięknej Heleny nauczyła nas wiele. Zrozumieliśmy, że żyjemy w epoce, w której jakiekolwiek próby odpolitycznienia sztuki z góry skazane są na przegraną.

W nieco odmienny sposób zetknęli się z wielką polityką nasi obozowi architekci. Obozowa architektura ze względu na liczebność i wysokie kwalifikacje zawodowe swolch przedstawicieli stanowiła obok teatru drugi najważniejszy ośrodek kulturalny Oflagu IIc. Nazwiska niektórych architektów woldenberskich jak: Jana Knothego, Hryniewieckiego, Ptaszyckiego, Brukalskiego, Bogusławskiego czy Jankowskiego znane są dzisiaj całemu krajowi jako nazwiska współtwórców nowej Warszawy, Nowej Huty, czy innych wielkich budowli socjalizmu. Wszyscy ci architekci od pierwszej chwili przejawiali na terenie Oflagu IIc bardzo ożywioną działalność kul-



naszych dusznych i przetłoczonych baraków. Wszystko razem stwarzało atmosferę coraz większego przygnębienia, w które pograżaliśmy się jak w czarne bagno bez dna. Kiedy zaczęły się pierwsze samobójstwa i pierwsze wypadki obłędu, aktyw kulturalny obozu zdecydował, że trzeba koniecznie coś zrobić dla podniesienia nastrojów „gefangenów”.

Wtedy powstała myśl stworzenia teatru. Materialną stronę tego pomysłu dało się zrealizować łatwiej, niż można było przypuszczać. Lagerkommando, oczekująca właśnie wizyty przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, zgodziła się bez mrugnienia oddać na cele teatralne starą nie używaną kuchnię. Reszty dokonali nasi znakomici plastycy i architekci, których w Oflagu było sporo. Sił artystycznych nie brakowało również. Rozporządzaliśmy paroma zawodowymi aktorami i dwoma początkującymi reżyserami. Zresztą pierwsze wieści o projektach teatralnych wywołały w całym obozie niesłychane poruszenie i spowodowały taki wybuch młodych talentów aktorskich, że kandydatów starczyłoby nie na jeden, ale na pięć teatrów. Trudności zaczęły się dopiero przy ustalaniu repertuaru.

Mieliśmy w obozie paru zawodowych literatów o ustalonej już firmie, mieliśmy kilka dobrze się zapowiadających piór amatorskich, ale wiadomo doskonale — choćby i z sytuacji w naszej powojennej dramaturgii — że napisać na zamówienie dobrą sztukę to wcale nie łatwa rzecz. Dlatego po krótkim namyśle kierownictwo artystyczne teatru zrezygnowało z utworu zupełnie oryginalnego, a postanowiło szukać natchnienia w reminiscencjach z przedstawień przedwojennych. Ale i to nie było takie proste. Premiera teatru obozowego musiała odpowiadać dwóm zasadniczym warunkom: być interesująca

zumiale dla najmniej inteligentnego z widzów polskich, a całkowicie niedostępne dla tępych mózgów z „Abwehrabteilung”.

Praca nad ożywianiem pięknej królowej greckiej, o którą tak zawzięcie wodzono się za lby pod Troją, odbywała się przeważnie w naszym baraku, gdyż u nas mieszkali najwyższy w obozie sędzia spraw artystycznych, wybitny „pisarz z nazwiskiem” — Stefan Flukowski. Miejsce zebrań teatralnych był tzw. „kącik Fluka” — wąski przedział między trzypiętrowymi pryczami, gdzie stał mały stolczyk przemysłnie zbitny z dyktu, przy którym wychudzony i przeważnie cierpiący pan Stefan pisywał niestrudzenie swe piękne wiersze i prowadził zakonspirowane kursy historii literatury dla szeregowych i podchorążych z tzw. „drużyn roboczych”. W czasie zebrań teatralnych, dla zrobienia miejsca gościom, pisarz przenosił się na swoje piętrowe „wyro” i leżąc na nim jak Sienkiewiczowski Petroniusz po porannej kąpeli, patrolował z góry pracy twórczej, która w zasadzie odbywała się na poziomie łóżek dolnych. Tu skurczeni we dwoje i blisko skupieni przy sobie rozsiadali się najwybitniejsi artyści obozowi, a więc: zaczynający karierę konferansjera Kazimierz Rudzki, jak zawsze chłodny, opanowany i piekielnie dowcipny, Jan Koecher, aktor i reżyser, żyjący w niewoli (jak zresztą i dzisiaj) tylko dla sztuki i czarnej kawy, Henryk Roztworowski, ulubiony piosenkarz obozu i kandydat do roli... Pięknej Heleny, Jerzy Michałowski, jeden z głównych współautorów i wykonawców przygotowywanej sztuki, nie myślący jeszcze wtedy oczywiście o stanowisku wiceministra oświaty w Ludowej Polsce, Ludwik Natanson, dziś profesor fizyki na Uniwersytecie Łódzkim — wówczas ceniony głównie jako subtelny znawca literatury, oraz muzycy: uwielbiany

turalną, choć niespecjalnie związaną z architekturą — przynajmniej na początku.

Jan Knothe, drobnutki brunecik o oczach roziskrzonych diabelską inteligencją, zajmował się głównie staroindyjską Ramajaną, którą tłumaczył na wiersz polski, kunsztowny, dostojny i potoczny, ilustrując ją prześlicznymi rysunkami — najpiękniejszą chyba rzeźbą, jaka powstała w Oflagu IIc.

Jerzy Hryniewicz — który obecnie profesuruje i biedzi się nad budową największego stadionu sportowego dla Warszawy — wyławowywał swój wybuchowy temperament w pisaniu dramatów trochę „pod Wyspiańskiego” i w wygłaszaniu po barakach pogadek o swoich przedwojennych wędrówkach afrykańskich. Na jakim „koniku” hasał w pierwszych latach woldenberskich najzarliwszy ze wszystkich znanych mi architektów, Tadeusz Ptaszycki — nie wiem, gdyż poznałem go dopiero po wojnie już jako naczelnego projektanta Nowej Huty.

Z czasem jednak wszystkie te pozazawodowe „koniki” wykopsano spod siedzi naszych architektów, a tych ostatnich zapędzono do „solidnej” pracy w ich właściwym zawodzie. Sprawiała to... choroba drutów kolczastych, która w danym wypadku wystąpiła w swojej niegroźnej formie zwykłego jenieckiego „wyglupiantusa”. W drugim czy trzecim roku niewoli ogromna większość jeńców woldenberskich doszła nagle do wniosku, że po wojnie musi sobie wybudować... własne wille. — Wariując z nudów drobni urzędnicy, naukowcy, adwokaci, lekarze w mundurach podporuczników rezerwy, oraz zawodowi podporucznicy szwoleżerów zaczęli zasypywać obozowych architektów zamówieniami na projekty wili — i to możliwie najbardziej luksusowych. Architekci chętnie wykonywali projekty — niekiedy za samo tylko dobre słowo, przeważnie jednak za papierosy z paczek. Nie obyło się także bez sprawy honorowej, gdy jeden z projektantów — u którego stały ubytek kalorii spotał wrodzone rozrządzenie — zapomniał w projekcie pięknej dwupiętrowej wili wkalkulować... schody, co zostało uznane za świadomy zamach na oficerski honor zamawiającego. Na ogół jednak projektanci wywiązywali się z zamówień sumiennie i ilość powojennych rezydencji jenieckich rosła w tempie zastraszającym.

Po kilku miesiącach — kiedy wszyscy „gefangeni” mieli już własne wille — bzik willowy wygasł sam z siebie. I dopiero wówczas ujawniła się jego funkcja pozytywna. Architekci zrozumieli, że pracować w dziedzinie architektury można nawet w obozie.

Z odkrycia tego skorzystało w jakiś czas potem obozowe Koło Spółdzielców, rozpisując wielki konkurs architektoniczny na spółdzielczą zabudowę wsi. To była już sprawa poważna i spotkała się z należytyim zrozumieniem wśród stęsknionych za pracą twórczą inżynierów.

Dla niektórych architektów idee spółdzielczości były ziemią zupełnie nieznaną. Zaczęły się więc wzajemne rozmowy uświadamiające, czytanie książek, dyskusje itp. Potem konkursowicze przystąpili do właściwej pracy. W parę miesięcy później konkurs został rozstrzygnięty i zorganizowano wystawę wszystkich nadesłanych projektów.

Jeszcze dziś, z pełną odpowiedzialnością za tę opinię, stwierdzam, że była to wystawa prawdziwie piękna, przyniosła chlubę naszym inżynierom. W krótkim czasie stała się główną sensacją obozu. Nie było „gefangena” — choćby najbardziej strutego brakiem wiadomości z domu, czy osłabionego głodem — który by przynajmniej raz nie obejrzał pięknie wykonanych makiet

i tablic. Wystawa wzbudziła powszechny zachwyt, podziwiano ją i omawiano we wszystkich barakach. Wprawdzie ziemianie z baraku kawaleryjskiego szyderczym okiem patrzyli na „pałace dla chamów”, ale ponieważ z kawaleryjskiego punktu widzenia projekty wystawowe były jeszcze znacznie mniej realne niż poprzednie szaleństwo willowe — więc i z tej strony dano wystawie spokój.

Ostatecznie zwiedził wystawę nawet sam „starszy obozu” w towarzystwie swego wylizanego adiutanta. Pułkownik postawiony przez kastę oficerską na czele społeczności jenieckiej wychował się w carskim „korpucie paziów” i językiem francuskim i rosyjskim władał znacznie lepiej niż polskim, co nie przeszkodziło mu zresztą odnieść się z chłodną uprzejmością do ogólnie uznanej imprezy. Termin „spółdzielczość” nie brzmiał w jego uszach wrogo. Przy pułku, którym dowodził przed wojną, była przecież także „spółdzielnia”.

Jak głosiła fama obozowa, do zwiedzenia wystawy przygotowywał się nawet Najstarszy Oficer Obozu — generał brygady C., którego pokazywano nam tylko od święta, gdyż mieszkał stale przy Izbie Chorych i, jak opowiadali sanitariusze — całe dnie spędzał na grze w „durnia” z technikiem dentystrycznym. Najstarszy Oficer Obozu wslawił się właśnie historycznym okrzykiem, którym zamknął obozowy turniej szachowy. Okrzyk ten brzmiał: naród, który ma takich szachistów, nie może zaginać! Mieliśmy więc prawo oczekiwać, że podobny okrzyk będzie wznieiony ku chwale obozowych architektów.

Ale, jak to zwykle zdarza się w życiu, wszystko odbyło się inaczej. Do Oflagu IIc zjechała nagle od dawna już zapowiadana delegacja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Jeżeli sobie dobrze przypominam, delegatów było tylko dwóch: wysoki chudy Szwajcar i krótki zażywny Duńczyk. Niemiecka generalicja i polska starszyzna obozowa oprowadzały gości po całym obozie, pokazując im wszystkie jego osobliwości. Czy można było im nie pokazać chlubny Oflagu IIc — wystawy spółdzielczej?

W czasie zwiedzania wystawy doszło do dramatycznego spięcia. Przedstawiciele starych demokracji mieszczańskich po pobieżnym przejrzeniu pierwszych makiet i tablic, w lot dopatrzyli się tego, czego nie zdołał się dopatrzeć mniej uświadomiony „starszy obozu”. Jak wystrzał padło słowo: „kolchozy”.

To straszne słowo napędziło krew do wszystkich twarzy i na krótką chwilę wytworzyło atmosferę zupełnej solidarności między gośćmi z Zachodu, niemieckim generałem i carskim pazurem w mundurze polskiego pułkownika. Zirykowani i rozczarowani delegaci nie kryli swego oburzenia, że „wspomaganie czerwono krzyżem” paczkami jeńcy oddają się bolszewickim zabawom”. Wyrok na wystawę spółdzielczą został wydany.

Najstarszy Oficer Obozu nie wznosił okrzyku na cześć obozowych architektów. Wystawę spółdzielczą zlikwidowano szybko i chyłkiem jak przykry skandalik, który przez niedopatrzenie wydarzył się w dobrej rodzinie. Najbardziej zdziwieni tym obrotem sprawy byli sami architekci. Większość z nich stała wówczas bardzo daleko od wszelkiej polityki. Jedyną ideą, przyswiecającą ich projektom konkursowym, była ogólnoludzka idea jak najlepszego urządzięcia życia człowiekowi na wsi. Uznali ich za „twórców bolszewickich kolchozów” i „siewców zatrutych miazmatów” musiało ich zdumieć nad wszelką miarę.

Balszy ciąg nastąpi



BALZAK I REKLAMA

Sensacyjnie ujęty tekst, który dziś drukujemy, pochodzi sprzed stu z górą lat. 15 grudnia 1837 nakładem paryskiego dziejnika „Figaro” wyszło jedno z arcydzieł Balzaka „Cezar Birotteau”. Tegoż dnia na łamach „Figara” ukazał się artykuł pisany według wszelkich reguł najbardziej nowoczesnej reklamy. Nie wspomina o tym ani Boy, ani żaden inny z naszych balzakistów. A epizod jest bez wątpienia ciekawy. Świadczy, że już wtedy stosowano w handlu — i to handlu księgarskim — metody nazwane znacznie później „reklamą amerykańską”. Jak widzimy, nazwa nie jest słuszną. Bo za czasów Balzaka najczęstszą w New Yorku reklamą był kawałek świeczki palącej się w szklanej kuli obok kiepskich ogłoszeń. Podpis pod artykułem „Figara” brzmiał Edouard Ourliac. Czy był to sam Balzac, czy też tylko inspirował sensację na swój temat? Znaczący niewątpliwie ustala tożsamość autora.

MÉDAILLE D'OR A L'EXPOSITION DE 1819.



CÉPHALIQUE.

BREVET D'INVENTION ET DE PERFECTIONNEMENT.

Nul cosmétique ne peut faire croître les cheveux, de même que nulle préparation chimique ne les teint sans danger pour le siège de l'intelligence. La science a déclaré récemment que les cheveux étaient

NIESZCZĘŚCIA I PRZYGODY CEZARA BIROTTEAU PRZED URODZENIEM

Herkules jest sobie zwykłym parobkiem, jabłka Hesperyd — pękiem brukwi, złote runo — skórą króliczą — wszystko jest niczym w porównaniu z faktem, że Figaro zdobył Cezara Birotteau.

Nigdy zagniewani bogowie, ani prefekci policji nie stawiali tak strasznych przeszkód na drodze Jazona, Tezeusza, czy przechodniów paryskich, ile trudności spiętrzyło się przed wydaniem tych dwóch nieszczęsnych tomów. Ale oto są i publiczność zada sobie jedynie trud przeczytania. Jest to oczywista przyjemność. Pan de Balzac ma za sobą dwadzieścia dni pracy, dwie libry papieru i piękną książkę. Dla nas był to sukces drukarski i nasze prawniki żałować będą, że się nie dowiedzą imion cecerów i pomocników. Żałujemy i my, lecz podać nie możemy, bo również ich nie znamy.

Figaro przyrzekł książkę na 15 grudnia, pan de Balzac zaczął ją pisać 17 listopada. P. de Balzac i Figaro mają dziwny zwyczaj dotrzymywania słowa. Drukarnia była gotowa i czekała z drżeniem niczym raczy rumak.

P. de Balzac przysłał nam dwieście arkuszy zapisanych w przeciągu pięciu gorączkowych nocy. Znamy jego styl. Był to zarys, chaos, apokalipsa, jakiś poemat hinduski.

Drukarnia zbłądła. Nie ma jednak wahań. Potwora przekształca się i tłumaczy na czytelne mniej więcej znaki pisarskie. Teraz najdomyślniejsi nawet nic już nie rozumieją. Zaniesiono to autorowi.

Ten zwraca pierwsze dwie szpalty nalepione na olbrzymich arkuszach, afiszach raczej, czy parawanach. Teraz dopiero wszyscy zadrżeli. Wygląd arkuszy jest wprost przerażający. Od każdego słowa, od każdego drukowanego znaku biegała atramentowa linia na kształt promieni i węży rozpryskując się na marginesach w świetlisty deszcz zdań, przymiotników i rzeczowników, podkreślonych, krzyżujących się, pomieszanych, nachodzących jedne na drugie. Widok jest wstrząsający. Wyobraźcie sobie kilkadziesiąt takich arabesków w ciasnych spłotach wijących się na wszystkich stronach. Wyobraźcie sobie tuzin różnych map połączonych w jedno, pokrytych hieroglifami, czy też odbitką fantastycznej feerii ogni sztucznych.

Na ten widok jęknęły prasy drukarskie, cecerzy zaczęli wyrwać sobie włosy, a uczniowie całkiem potracili głowy. Niektórzy zbliżyli się ostrożnie do szpalty, rozpoznali na nich alfabet perski, pismo demotyczne i znaki symboliczne boga Wisznu.

Nazajutrz nadeszły dwie nowe szpalty, tym razem po chińsku. Do ukończenia druku pozostawało już tylko dwa tygodnie.

Mija dzień i nadchodzą szpalty pisane językiem syjamskim. W ten sposób cały materiał wędruje siedmiokrotnie z drukarni do autora i z powrotem. Wreszcie zaczynają wyłaniać się pewne ślady języka francuskiego. Któryś składacz wykrył nawet całkowite zdanie. Ale czas płynie, termin się zbliża i dzieło nie będzie mogło się ukazać. W drukarni panuje rozpacz.

W najbardziej gorączkowej chwili gońca, który dzień i noc nosił szpalty, zatrzymują bandyci. Materiał został skradziony, złodzieje uciekają. Jedną szpalatę zdołano odszukać w Neuilly, drugą na polu buraków, trzecią dopiero w pobliżu Rouen. Bandyci mimo wysiłków nie mogli nic odczytać i tylko dlatego porzucili bezcenne arkusze. Jest to szczęście w nieszczęściu.

Nadchodzą nowe karty rękopisu i nowe arkusze szpalat. Ale jedna noc jest niepowrotnie straconą. W drukarni słychać tylko zgrzytanie zębami.

Praca posuwa się naprzód. Wtem znika dwunastu robotników. Słychać uderzenie pioruna. Podłoga się zapada, składacze, korektorzy i uczniowie nikną w rozwartej czeuści. Sypie się na nich deszcz dziwnych meteorów. Wybuch miny, pożar, zasadzka, wulkan, ogień niebieski, czy sąd ostateczny? Nikt nie umie powiedzieć. Wreszcie jednak ów deszcz ognisty przybiera kształt niewinnych liter alfabetu. Wraca spokój, ale nie wraca kolumny Cezara Birotteau. Zginęły, spadły na dach dylizansu ruszającego w stronę Louviers.

Rusza pościg, dopada dylizansu. Na koźle czytano pierwszy rozdział, trzeci wewnątrz pojazdu, a rozdział drugi na piętrze. Z pistoletami w ręku zatrzymano dylizans: — Cezar Birotteau albo życie! Podróżni wahają się, ale oddają Cezara. W zamian pozostają przy życiu.

P. de Balzac i Figaro dotrzymują słowa. Dziś jest piętnasty grudnia i dzisiaj dwa tomy Cezara Birotteau ujrzą światło dnia.

Zastosowano wszelkie środki ostrożności. Gmach wydawnictwa jest pilnie strzeżony. Nie wolno palić. Na dachu umieszczono piorunochrony, przy drzwiach — zbrojnych siłaczy.

Dwa tomy są już gotowe. Dwa wspaniałe tomy napisane i poprawione piętnastokrotnie przez pana de Balzac w ciągu dwudziestu dni. Odczytane, odcyfrowane, złożone piętnastokrotnie i wreszcie wydrukowane w ciągu tego samego czasu. P. de Balzac napisał swe dzieło mimo wysiłki drukarni. Drukarnia wydrukowała je mimo wysiłki p. de Balzac. Nie będziemy oceniać tutaj wartości tej książki. Faktem jest, że powstała z szybkością wprost niezwykłą. Nie znamy jej przyszłych losów. Może okaże się arcydziełem. To trudno.

EDOUARD OURLIAC
(Figaro, 15 grudnia 1837)



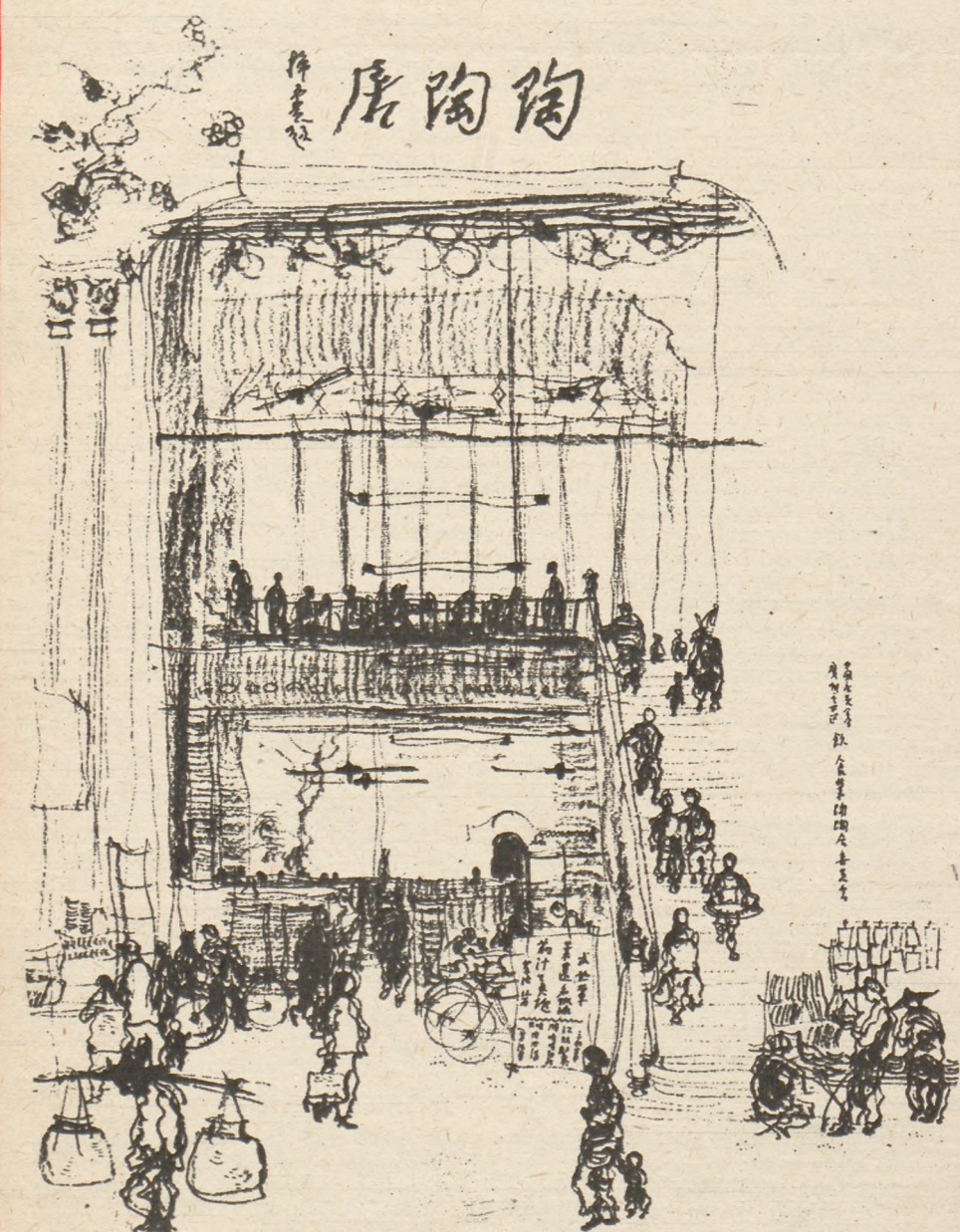
W OPERZE — Z CYKLU: „KULTURA DLA LUDU”



ZBIÓR KUKURYDZY NA S

HOGARTH RYSUJE W CH

HERBACIARNIA W KANTONIE



W

WIELKIM tematem stały się dla szeregu wybitnych, czołowych artystów europejskich Chiny Ludowe. Dzieje się tak dlatego, że w tym pięknym i ciekawym kraju z całą wyrazisto-

ścią, z całym bogactwem kontrastu, na szczątkach starego, zmierzającego — powstaje, rodzi się, rozkwita nowe. Odrębność, inność życia w Chinach bez wątpienia sprzyja artyście, pozwalając mu w swych pracach utrwalić bujny rytm przechodzenia od feudalnego zacofania, od swoistego średniowiecza, od starych, zastygłych i zakrzepłych treści i form, od nieludzkiej, wyciskającej ostatnią kroplę potu ludzkiego, pracy — do nowego, uskrzydłonego idea, uduchowionego trudu budowania socjalistycznych Chin, wolnych i silnych.

W ostatnich latach niemało powstało dzieł, ukazujących życie i ludzi tego olbrzymiego kraju. Artyści polscy mają się tu czym pochwalić. Rysunki Tadeusza Kulisiewicza, Aleksandra Kobzdeja, Andrzeja Zaborowskiego i ostatnio Andrzeja Strumilly są nie tylko poważnymi dziełami sztuki, ale też pięknym dokumentem poznawczym, dokumentem naszej nowej przy-

jaźni. Grono europejskich artystów, których pobyt w Chinach Ludowych wyraził się powstaniem wielu artystycznych dzieł — powiększył obecnie jeden z najznakomitszych i najbardziej popularnych współczesnych rysowników, postępowy grafik angielski — Paul Hogarth. Nazwisko jego jest dziś dobrze znane na całym świecie. Znałe jest również i w Polsce. Czytelnicy „Świata” nieraz mieli sposobność na stronach naszego pisma oglądać rysunki przysyłane przez artystę z różnych stron świata. Podróżnik-artysta, bo tak nazwać go można bez przesady, bawiąc przed kilkunastu miesiącami w Polsce, stworzył tekę doskonałych rysunków poświęconych naszej ojczyźnie. Tekę tę znajduje się obecnie w druku. Niejednokrotnie też wystawiał on swoje prace w Warszawie. Twórczy dorobek Hogartha jest niemały. Znaj-

dziemy w nim obok — oczywiście — rysunków z Anglii szereg znakomitych prac stanowiących plon wędrówek po frankistowskiej Hiszpanii i zniewolonej Grecji; w dorobku jego znajdziemy rysunki z Polski, Czechosłowacji, Związku Radzieckiego, a ostatnio właśnie i z Chin Ludowych.

Chińskie rysunki Hogartha noszą wszelkie charakterystyczne dla jego twórczości cechy. Ostrość, trafność, przenikliwość oka idzie tu w parze z lekkością i precyzją ręki, idzie w parze z dużym mistrzostwem, z wielkimi umiejętnościami. Przy pomocy prostych środków artystycznego wyrazu umie on przekonywająco oddać nie tylko cechy zewnętrzne przedstawianych zjawisk. Umie, co najważniejsze, zawsze utrafić w swoisty i niepowtarzalny nastrój, oddać ruch, życie. W każdym swoim rysunku osiąga on wcale niełatwe podporządkowanie wszelkich elementów przedstawianym treściom, scalając wszystko w jednolitą, nienaruszalną całość.

Hogartha zawsze i wszędzie głównie interesuje człowiek. To człowiek ożywia krajobrazy, nadając im określony sens i znaczenie, pracuje na polach i w halach fabrycznych, zaludnia ulice. To człowiek jest głównym tematem artysty i jemu też poświęca Hogarth o wiele więcej miejsca, aniżeli się to na pierwszy rzut oka wydaje. Wszystko co rysuje, wszystko co widzi łączy się u niego ze sprawami człowieka. W wizerunku ludzkim najistotniej, najprawdziwiej potrafi ukazać on rodzące się, dokonywające się nowe.

Rzadko kiedy przy pomocy słów można opisać dzieło rąk artysty. Nieczęsto słowo potrafi wytrzymać konkurencję obrazu. Należy na obraz patrzeć. Mniejsza o słowa, mogą się one znaleźć. I nie muszą powstać w naszym umyśle precyzyjne sformułowania, określające sytuację. Lecz pewne jest, że rysunek wywołuje niejedną myśl, niejedną refleksję — głębszą, aniżeli wydawać by się to mogło nam na pozór.

Patrząc na chińskie rysunki Hogartha, odczuwamy potrzebę myślenia. I to właśnie stanowi ich siłę.

IGNACY WITZ



WŁOZIELCZYM POLU



STUDENTKA Z PEKINU



BUDOWNICZOWIE ZAPORY WODNEJ W HANKOW

CHINACH

CHUNGKING — SPOTKANIE RZEK



KARTKI Z WIEDŃSKIEGO NOTATNIKA

LUDWIK MYSAK

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

TANIE, PROSTE I POŻYTECZNE

W Mikołajkach (woj. olsztyńskie) mieści się Fabryka Płyt Trzcinowych. Odpadki produkcji w postaci krótkich kawałków trzciny dotychczas po prostu wyrzucano. Majster Józef Tyczyński wpadł ostatnio na pomysł, aby odpady te, mające własności izolacyjne, zużywać do produkcji cegły.

Pomysł znalazł szybkie zastosowanie i oto w fabryce w Mikołajkach prowadzone są już badania nad techniką fabrykacji cegły trzcinowo-gipsowej.

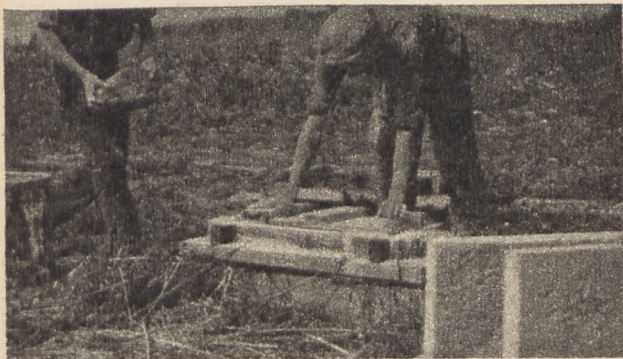
Produkcja takich cegieł jest bardzo prosta. Do niedużej skrzynki drewnianej wkłada się odpowiednią ilość odpadów trzcinowych, zalewa mlekiem gipsowym i przykrywa pokrywę. Po wyschnięciu wyjmujemy z formy gotową cegłę. Zastępuje ona 5 cegieł normalnych i nadaje się doskonale do budowy tzw. ścianek działowych.

Niewątpliwą zaletą cegły trzcinowo-gipsowej jest również możliwość dowolnego płowania jej na części.

J. Jankowski, Olsztyn



Odpady trzcinowe zalewa się mlekiem gipsowym.



...a potem prasuje się jak ser.

— DOBRZE BYŁO NA CHOINCE W KARPACZU —

Sanatorium Dziecięce w Karpaczu chcąc uprzyjemnić okres świąteczny przebywającym tam dzieciom koreańskim i polskim zorganizowało choinkę noworoczną, przy której Dziadek Mróz rozdał paczki ze słody-

czami. „Choinkę” uprzyjemniły także występy amatorskiego kółka artystycznego personelu sanatoryjnego, jak i tańce ludowe dzieci koreańskich.

E. Przybylski — Karpacz



Kim So-Cza i Ju Oks-Eum w ludowym tańcu koreańskim.

Kiedy w Warszawie pojawiły się afisze, zapowiadające na dzień 12 grudnia 1954 atrakcyjną imprezę rozrywkową: „Expressem po Orbisie”. Maciek zapytał: — Pójdziemy? — Pójdziemy! — potwierdził.

Poszliśmy. Wpierw do „Orbisu” po bilety.

— Panowie życzą lepsze bilety, czy gorsze? — zapytała miła i ładna „panienka z okienka” przy kasie.

„Zczyliśmy” lepsze.

Z uśmiechem wręczyła nam 2 bilety, opatrzone pieczętkami i numerami w zamian za trzydzieści dwa złote.

Na bilecie widniało wprawdzie: „Cena — 15 złotych”, ale zapłaciliśmy bez szemrania. Widocznie „Orbis” pobiera dopłatę za spżedaz biletów także na organizowane przez siebie imprezy. Są różne zwyczaje...

— Czy miejsca są numerowane? — upewnił się Maciek.

— Ależ oczywiście! (w głosie miłej panienki zadrgało oburzenie). Innych nie sprzedajemy.

Na niedzielną imprezę przyszlśmy dość wcześnie. I tu niespodzianka. W wielkiej Hall „Gwardii” trybuna „D”, na którą opiewały nasze bilety,

była przepelniona po brzegi. Nie mogliśmy znaleźć naszych miejsc.

— Proszę pana — zauważył Maciek na widok młodzieńca z czerwoną opaską na ramieniu — gdzie właściwie są nasze miejsca?

— Ach, jak „Express” coś organizuje, to zawsze brak porządku! Ale zaraz panom pomogę znaleźć! — odpowiedział uprzejmie młodzieniec, wżął Maćkowy bilet i... przepadł bez śladu.

Z kolei ja spróbowałem: szczęścia, zatrzymując funkcjo-

nariusza w welwetowej kurtce, z czerwoną opaską na ramieniu.

— Na trybunie „D” miejsca są nie numerowane! — stwierdził beztrasko.

— No dobrze, to po co są numery na biletach?

— A czy jedno drugiemu przeszkadza? — zapytał z miłą dżącą pewnością siebie. — Zre-szta czemu się pan dziwi? Jak „Orbis” coś organizuje, to zawsze balagan.

W rezultacie staliśmy przez cały czas trwania imprezy. W podobnej sytuacji byli setki innych widzów.

Tekst: Tomasz Czabański
Foto: Feliks Tracz

W PIĘKNYM SCHRONISKU „PIĘKNE PORZĄDKI”



Nawet retusz fotografii nie wyretuszuje prawdziwego stanu rzeczy.

Z miejscowości Polana, położonej w dolinie Wisły, w Beskidzie Śląskim — prowadzi wygodna szosa samochodowa na szczyt Równicy (884 m.n.p.m.) wijąc się łagodnymi serpentynami aż do samego schroniska. Przy szosie tej, w siodle, pod halnym szczytem stoi okazałe, nowoczesne schronisko, otoczone oszklonymi werandami. Schronisko, położone w pobliżu pasa granicznego łączącego nas z bratnią Republiką Czechosłowacką, ma charakter reprezentacyjny. W sezonie korzysta z niego ok. 1.200 osób dziennie.

Wycieczkowicze wywożą z pobytu w schronisku niestety niezbyt miłe wspomnienia: napoje otrzymują w wyszczerbionych filiżankach i garnuszkach. W pokojach nr 7, 8 i 9 oraz na werandzie ramy okienne są zupełnie przegniłe i za łada podmuchem wiatru grożą zwałeniem się na głowy przechodzących turystów. Łazienka, ubikacje i kuchnia pozbawione są wody, gdyż zbiornik źródłany jest zdewastowany i nikt nie myśli o jego naprawie. Dla

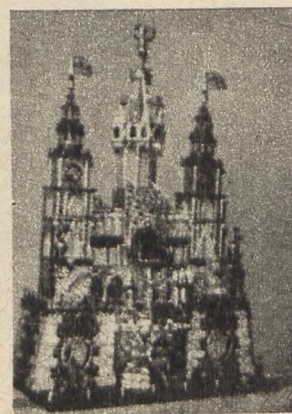


setek przybywających tam turystów wystawiono obok schroniska prowizoryczny ustęp polowy „a” o dwu kabinach.

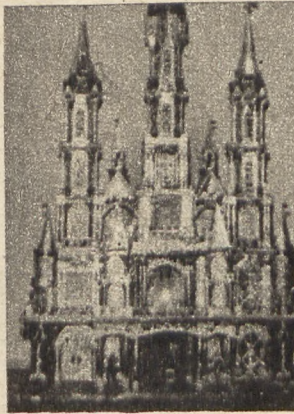
Jak informował nas kierownik schroniska, wszelkie jego reklamacje wnoszone pisemnie i ustnie na odprawach Zarządu Urzędzeń Turystycznych w Bielsku, któremu gospodarczo podlegają wszystkie schroniska — pozostają bez najmniejszego skutku. Obecnie wodę użytkową donoszą pracownicy z odległości około 500 metrów.

J. Zubik — Sztalino

KRAKOWSKIE SZOPKI



Szopka Zdzisława Dudzika



Szopka F. Tarnowskiego.

W grudniu w krakowskim Muzeum Historycznym odbył się przedziwny konkurs. Uczestniczyło w nim 30 mistrzów i bardzo efektywnie wykonanych szopek, wykonanych na wzór architektury starego Krakowa. Dwie równorzędne pierwsze nagrody otrzymali: instalator Zdzisław Dudzik oraz murarz Franciszek Tarnowski.

Tekst: L. Wyrwicz
Zdjęcia: J. Rumianowski



WRÓCIŁY ORŁY POLSKIE

Przed Dworem Artusa na Długim Targu w Gdańsku stanął znów posąg Neptuna. Wróciły także na dawne miejsca polskie orły.

Orły te są dziełem nieznanego ślusarza gdańskiego z roku 1634. Wykonane zostały jako symbole łączności miasta z Polską. Hitlerowcy jeszcze w roku 1935 zerwali orły. Powróciły one na swoje miejsce w dziesięciolecie Polski Ludowej.

L. Makowski, Polanica



Statua Neptuna

FOTOGRAFIA NA CODZIEŃ

ZDJĘCIA W ZIMIE

Śnieg przykrywa barwy tak często urzekające fotografującego w innych porach roku. Krajobraz zimowy jest bliższy fotografii, operującej tylko bielą i czernią. Spokojna powierzchnia i linia stanowią w krajobrazie zimowym motyw decydujący.

Jednakże sama powierzchnia śniegu nie wystarcza nam, do zdjęcia — musimy na fotografii odtworzyć jej plastyczność, wydobyć czystość bieli, która ograniczona będzie do jasności światła odbijanego przez biały podkład papieru fotograficznego, zachować miękkość cieni śnieżnych płaszczyzn.

Do tego konieczne nam jest słońce — najlepiej fotografować rano i przed wieczorem, gdy promienie padają z boku. Najwspanialsze efekty świetne otrzymujemy fotografując pod światło, lecz należy uważać, aby promienie słońca nie wpadały wprost w obiektyw. We wszystkich wypadkach konieczna jest osłona przeciwsłoneczna, gdyż nawet przy świetle bocznym odbicie promieni słońca od śniegu jest bardzo silne i odbiaski te wpływają ujemnie na przejrzystość i ostrość naszego negatywu.

W zimie przeważa zdecydowanie barwa niebieska, na którą emulsja fotograficzna jest najbardziej wrażliwa. Również i w cieniach śniegu dominuje kolor niebieski, aby więc cienie te nie wypadły na pozytywie nazbyt jasno dając płaskie, martwe płaszczyzny, musimy stosować filtr, powstrzymujący promienie niebieskie. Należy więc używać filtru żółtego, lub jasno pomarańczowego. W górach, na wysokościach powyżej 1.500 m, stosujemy filtr przeciw promieniom ultrafioletowym.

Bogactwo motywów zimowych jest tak olbrzymie, iż trudno pokrótce je omówić. Przypomnijmy tylko, iż w krajobrazie zimowym unikać należy tematów obejmujących zbyt wiele szczegółów — z bliska zdjęty jeden mniejszy obiekt, jak np. ośnieżone drzewo, ławka czy chata w śniegu, oszroniona gałąź, daje lepszy efekt i bardziej tchnie zimą, niż szeroki, przeładowany treścią widok.

Dużo kłopotów fotoamatorowi sprawia naświetlanie. W słońcu mamy doskonałe oświetlenie, spotęgowane odbiciem od śniegu, zezwalające na krótkie czasy migawki, konieczne zresztą przy zdjęciach narciarskich, lecz oświetlenie to jest silnie zróżniczkowane, w zależności od pogody i pory dnia. W braku światłomierza elektrycznego, jako orientacyjne dane dla emulsji o czułości ok. 17/10 st. DIN, należy przyjąć, iż w miesiącach zimowych, na śniegu, w słońcu, fotografując w godzinach rannych i przedwieczornych motywów na otwartej przestrzeni naświetlać możemy 1/100 sek. przy przysłonie „8” lub „9”.

Zdjęcia zimowe wymagają starannego wywołania, ażeby negatywy były dość silnie kryte lecz nie przewołane, gdyż wówczas tracimy delikatne półtony, tak charakterystyczne dla płaszczyzn śnieżnych. Oczywiście konieczny jest wywoływacz drobnoziarnisty, silnie wyrównujący — nadmierna kontrastowość negatywu uniemożliwi wykonanie harmonijnych powiększeń.

Po wyjściu z domu nie należy od razu otwierać futerału, gdyż obiektyw natychmiast pokryje się na mrozie mgiełką, która spowoduje nieostrość zdjęcia. Aparat powinien stopniowo „przyswyzczać” się do zmiany temperatury.

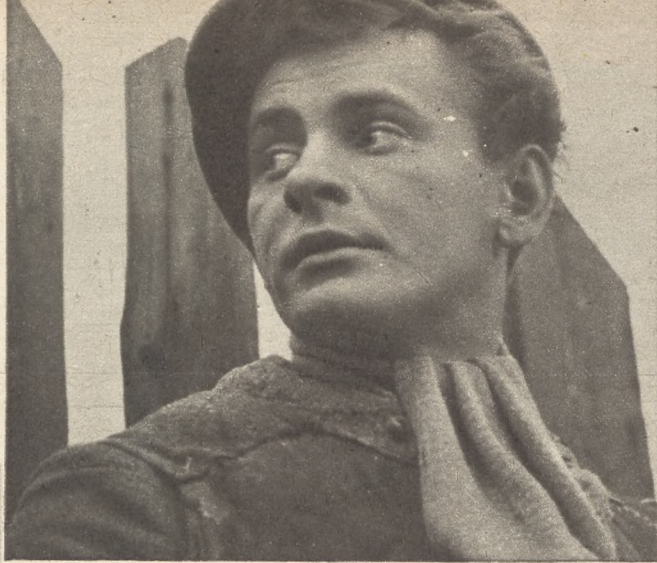


NAGRODA WARTOŚCI ZŁ. 200. —

przypadła w listopadzie ub. r. Ob. Tadeuszowi Frelkowi za fotokorespondencję „O Oltuszyku, starości i narodzinach kanału” opublikowaną w nr 47 „Świata” z dn. 21.XI.1954 r. Przypominamy, że w stałym konkursie na najlepszą fotokorespondencję miesiąca może wziąć udział każdy Czytelnik, który notatki swoje może uzupełnić zdjęciami. O formie nagrody: książki, albumy, wleczone plóra itp. decyduje autor wyróżnionej fotokorespondencji.

ZA KULISAMI

„POKOLENIA”



Prawdziwy „chłopak z Woli” — Lomnicki w roli Stacha.

Zandarmi — tuż. Droga zamknięta... Lufa — pusta... Przed Jasiem Krone (Tadeusz Janczar) już tylko śmiertelny skok



TRUDNO. Mam wodę w ustach. Do siedemnastego stycznia. Dałem słowo, że nie będę się wdawał w żadne oceny. Ze wszystko to, co zobaczę, zachowam dla siebie aż do dnia premiery, bo... no, nie wiem, ale jest podobno w atelier łódzkim taki przesąd, że jak coś się z góry zacznie chwalić, to taki film ma również z góry wszelkie szanse, żeby zrobić klapę.

A więc wpuszczono mnie do małej salki wypełnionej nielicznymi szczęśliwcami i powitano konspiracyjnym — tsss...!

Ale jedno chyba powiedzieć mi wolno?! Że — jak to mówią — „wzięło mnie”.

Już od pierwszego momentu, gdy na ekranie pojawiło się straszne siedlisko strasznej nędzy — tak zwane Budy, w których gnieździła się nie tak dawno jeszcze najuboższa ludność proletariackiej Woli — aż do przejmującej sceny końcowej, gdy Stach...

Nie! Dałem słowo. Mogę Wam jedynie powtórzyć to, co jeszcze przed tym próbnym pokazem „dla wtajemniczonych” usłyszałem od reżysera, Andrzeja Wajdy:

— „Pokolenie”, które zobaczycie na ekranie, różni się będzie od „Pokolenia” — książki, napisanej przez Bohdana Czeszko. Nie będzie to jakaś zwykła ekranizacja czy adaptacja filmowa powieści, lecz nowe, krytyczne i twórcze spojrzenie na dzieło literackie przy pomocy filmowego obiektywu.

Autor scenariusza, Bohdan Czeszko, poczynił więc sporo najrozmaitszych, bardzo istotnych zmian, odwracając niekiedy nurt akcji od tego, co się dzieje w książce, kondensując niektóre postacie itp. Zmianą najbardziej jednak zasadniczą jest to, że w filmie bohaterem będzie STACH, a nie — jak to jest w książce — JUREK. Ważna jest również sprawa CZASU, w którym rozgrywa się akcja. W książce są to, jak widać, mniej więcej trzy ostatnie lata okupacji. W filmie zamknijemy całą akcję na przestrzeni kilku zaledwie najbardziej obfitujących w wydarzenia miesięcy.

A cel tych wszystkich zmian? Szło nam o to, aby wszystko było jak najbardziej zwarte, proste, bez niepotrzebnego rozdrabniania na wątki uboczne, bez odwracania uwagi widza w kierunku spraw mniej istotnych.

Jak długo pracowaliśmy nad „Pokoleniem”? Same zdjęcia trwały od czerwca do sierpnia 1954 roku. Poprzedził je okres intensywnych przygotowań, tak że na samym „planie” obyło się już na szczęście bez większych „cudów” w postaci przeróbek i dokręcań. Jak nam się udało nasze „Pokolenie” — pokaże premiera.

Tyle, jeśli idzie o wypowiedź reżysera. Od siebie dodać tu jeszcze muszę, że w kolektywie twórczym „Pokolenia” uderza jedna zwłaszcza rzecz: **młodość**. Cała, dosłownie cała ekipa od autora scenariusza poprzez reżysera Wajdę, drugiego reżysera Konrada Nałęckiego, obu operatorów — Jerzego Lippmana i Stefana Matyjaszkiewicza aż po kompozytora Andrzeja Markowskiego i kierownika produkcji Ignacego Tauba — to ludzie młodzi, dopiero debiutujący samodzielną pracą w filmie. Miałem kilkakrotnie sposobność przyjrzeć się powstawaniu poszczególnych części „Pokolenia” i wyniosłem z tego jedno przede wszystkim wrażenie: to była robota naprawdę zespołowa. Każdą najdrobniejszą nawet scenkę, czy epizodzik — zanim zaczynało się kręcenie — gruntownie analizowano i wspólnie dyskutowano.

Lokcja religii w szkole zawodowej, do której chodził Stach. W roli księdza — A. Kowalczyk.



— U nas nawet rekwizyty musiały grać — powiedział mi kiedyś jeden z realizatorów. — Niektóre grały w sposób martwy, ale były i takie, które grały jak najbardziej na żywo... dosłownie!

Jest w „Pokoleniu“ taka knajpka, do której Stacho zachodzi z Sekulą i gdzie później zostaje zastrzelony Werkschutz. Pamiętacie te epizody z książki? W filmie będą one przebiegać wprawdzie nie tak jak w książce, ale nie o to mi w tej chwili chodzi. Otóż chcieliśmy w jakiś sposób ożywić to wnętrze, ożywić nie w sensie pijackiego gwaru, którego narobiliśmy tam pod dostatkiem przy pomocy statystów — ale pragniemy dać temu wnętrzu jakiś silny akcent dekoracyjny, który w odpowiednim momencie mógłby podnieść narastające w potrzebnej nam scenie napięcie...

Praktyka filmowa uczy, że w takim wypadku znakomicie pomaga np. tykające wahadło zegara. Rozumiecie:

— Tlk, tak...

Tu się coś dzieje, coś ma się stać strasznego, a tu:

— Tlk, tak, tlk, tak...

No dobrze — zegar! Ale zegar już był nieraz... Wtem ktoś wpadł na pomysł: nasz zegar będzie przewracał oczyma zamiast ruszać wahadłem!

Szybko zmontowaliśmy zegar w formie głowy Murzyna, a w puste oczodoły wpuściliśmy dwie odpowiednio podmalowane piłeczki ping-pongowe, poruszające się za pociąganiem sznurka. Zegar ruszał oczyma jak złoto. W takt. To w lewo, to w prawo — tak jak ktoś niespokojny, ktoś, kto nie wie, co się za chwilę może stać...

Efekt? Ciekawym, czy znalazł się ktoś, kto powie po obejrzeniu filmu, że ten zegar „nie grał“...

Opowiadał mi też kierownik produkcji Ignacy Taub, ile trudów kosztowało ekipę realistyczne nakręcenie sceny dramatycznego pościgu żandarmów za Jasiem Krone. Choćby taki moment: Jasio ostrzeliwując się z pistoletu biegnie w górę po schodach. Za nim grupa żandarmów. Prują gęsto z automatów. Ślady kul rysują się na ścianie niby ścieg maszyny do szycia. tuż, tuż nad głową chłopaka! W jaki sposób to się robi! Zapytajcie pirotechników!

Albo — scena, gdy Jasio zostaje ranny! Moment ten jest na filmie niezwykle plastyczny, oko kamery wycelowane jest bowiem w tym właśnie momencie na rękaw jasnego płaszcza, który Jasio ma na sobie. Słychać najpierw wyraźny świst kuli, później widać, widać, jak kula przebija rękaw i pokazuje się krew.

Kulisy tego zdjęcia wyglądają tak: najpierw założono Jasiowi na ramię specjalnie odlany pancerz ołowiany. Na tym pancerzu umocowano spłonkę od naboju, na tę spłonkę zaś połączono ochraniacz z jedwabistej gumy wypełniony krwią z zabitej gęsi czy kury. Spłonka była podłączona drucikiem, który wpuszczono aktorowi w nogawkę od spodni i który biegł, niewidocznie dla widza, do przyczajonego na uboczu pirotechnika. W odpowiednim momencie rozlega się strzał, pirotechnik robi spięcie, spłonka wybucha, rękaw pęka, krew (gęsia) się leje, a widz na widowni... no, co tu będę pisał, sami zobaczycie. I będziecie, tak jak ja, ściskali z emocji poręcz od krzesła. Nie tylko zresztą przy tej scenie.

A. W. WYSOCKI

Urszula Modrzyńska w roli Doroty w filmie „Pokolenie“ stworzyła doskonałą kreację.



FRANCO INTERLENGHI W ROLI ESPOSITA I IRENE GALTER JAKO JEGO ŻONA NUNZIATA.

PROCES AŻ NAZBYT PRAWDZIWY

GDYBYM był krytykiem filmowym, zapytany o „Proces przeciw miastu“ — odpowiedziałbym szeregiem znanych zdań już o włoskim neorealizmie i dodał na zakończenie kilka słów stawiających lepszą lub gorszą cenzurkę, wymieniając nazwiska reżysera, operatora, aktorów. Nie jest to bynajmniej krytyka filmowej krytyki. Metoda bowiem podana wyżej jest o tyle słuszną, że pozbawia widza niepotrzebnych wahań w rodzaju „pójść, albo nie pójść“. Ale nie każdego widza.

Po obejrzeniu „Procesu“ przeprowadziłem i (muszę się przyznać ze wstydem) podsłuchiłem wiele rozmów o tym filmie. I jeżeli wnioski końcowe prawie wszystkich dyskutantów były jednakowe, to drogi do tych wniosków prowadzące były tak różnorakie, że warto chyba im poświęcić kilka słów. Jedni podnosili jego głęboki, demaskatorski charakter, inni niezwykłą atrakcyjność dawno nie oglądanych filmów kryminalnych, jeszcze inni wspaniały realizm scen i postaci prowadzonych mistrzowską ręką reżysera. Drogi, jak widać, różne i krytyk byłby chyba w poważnym kłopotcie, którą uznać za właściwą, tyle bowiem racji jest w każdym z tych rozumowań. Toteż wydaje mi się, że film ten, godny obejrzenia z każdego punktu widzenia, jest poważnym problemem dla recenzenta. Chodzi bowiem o to, by podkreślić każdą jego cechę i tym samym dotrzeć do każdego widza, pozbawiając go wątpliwości.

Myszę, że „Proces przeciw miastu“ jest wspaniałym przykładem filmu, który pokazuje sprawy o głębokim znaczeniu społecznym w sposób atrakcyjny, trzymający widza w napięciu od pierwszej ukazanej na ekranie sceny, nie tracąc nic ze swych walorów artystycznych, realizmu i prawdy. Tak, właśnie prawdy, bo pod nazwiskami przewijających się na ekranie postaci kryją się nazwiska tych, którzy żyją poza filmem.

Akcja filmu toczy się na przełomie wieku dziewiętnastego i dwudziestego, wokół morderstwa małżonków Ruotolo. Sprawa jest zawikłana. Toczy się ciężkie, nie dające wyników śledztwo. Policja jest na fałszywym tropie. Ale w momencie objęcia sprawy przez nowego sędziego śledczego, ślady prowadzą na właściwy trop, na trop „camorry“ — mafii. Długim szeregiem przewijają się oskarżenia i podejrzenia. Od najniższych warstw społeczeństwa, od złodziei, bandytów, właścicieli domów publicznych i prostytutek, poprzez drobnych kupców do środowiska bankierów i potentatów prasowych, do ludzi stojących na najwyższych stanowiskach państwowych. Rozpoczyna się wielka akcja przeciw sędziemu. Prasa krzyczy o rzekomym oburzeniu społeczeństwa przeciw aresztowaniu znanych i cenionych obywateli, delegacje protestują w prokuraturze, następują interpelacje w parlamencie. A jednocześnie, z dnia na dzień, odslania się rąbek tajemnicy.

Przypomnijmy sobie inne nazwiska. Silvano Muto, redaktor naczelny małego pisma „Attualita“, oskarża na łamach swego pisma arystokratyczny klub św. Huberta o stałe orgie, w czasie których zażywano nar-

kotyki w postaci opium, marihuany itp. Do klubu należeli: rzekomy markiz Ugo Montagna, Attilio Piccioni — minister spraw zagranicznych Włoch, Piero Piccioni — jego syn, książę Maurycy Heski, Tommaso Pavone — szef policji miasta Rzymu i inne wysoko postawione osoby. W odległości kilkuset metrów od tego klubu znaleziono nad samym brzegiem morza ciało zamordowanej Wilmy Montesi.

Aresztowana w tej sprawie Adriana Bisaccia, egzystencjalistka i modelka malarska, usiłowała w czasie przesłuchania popełnić samobójstwo. Potem odmawia zeznań, twierdząc, że straciła pamięć.

Anna Maria Caglio — drugi uczestnik odbywających się w klubie „zabaw“, z racji bliskich stosunków, jakie łączyły ją z Ugo Montagną, zeznaje. Jej zeznania wprowadzają do protokołu wysoko postawione osobistości.

Tommaso Pavone — szef policji rzymskiej nie przyznaje się do pobrania od Montagni pieniędzy, ale jednocześnie twierdzi, że gdyby nie rozkaz milczenia, mógłby wiele rzeczy wyświecić.

Attilio Piccioni podaje się do dymisji. Następuje interpelacja w parlamencie. Prasa usiłuje wybielić zamieszane osoby. Mało znane pismo „Attualita“, stojące na stanowisku walki z „camorrrą“, uzyskuje w ciągu krótkiego czasu 130.000 egzemplarzy nakładu. Śledztwo prowadzi sędzia śledczy dr Raffaello Sepe, ale bezpośredni sprawcy morderstwa nie zostali wykryci; „camorra“ się broni, „camorra“ jest dobrze zamaskowana.

Na filmie „Proces przeciw miastu“ jest scena, w której naokoło wielkiego stołu w nadmorskiej restauracji siedzą sprowadzeni przez sędziego śledczego oskarżeni. Ale na końcu stołu, na prezydyalnych niejako miejscach, jest pusto. Nie ma jeszcze tych, którzy byli mózgiem i kieszenią „camorry“. Ale mimo szyszan i pogroźek, mimo niejasności i trudności, śledztwo posuwa się naprzód. „Tak — mówi sędzia — wytoczę proces, proces przeciw całemu miastu“.

Film pokazuje dwa możliwe wymiary sprawiedliwości. Ten, przed którym broni się „camorra“, któremu przeszkadza wszystkimi możliwymi środkami — wymiar trudny, lecz słuszny i sprawiedliwy. I ten, który sięga po niewinnych, aby ukryć prawdziwych przestępców. Przeciw takiemu wymiarowi „sprawiedliwości“ toczy się również proces. Na filmie i w życiu.

Trudno jest laikowi mówić o technicznych sprawach filmu. Ale równie trudno jest zobaczyć tak laikowi jak i nie laikowi równie piękne i czyste zdjęcie, równie mistrzowską reżyserię i grę.

A w sumie? Film, który złączył w jedną wspaniałą całość realizm życia i stosunków z wielkim, prawdziwym artyzmem i dobrze pojętą atrakcyjnością. Film, który pozwala sparafrazować krążący dowcip: „Nie uczta Baltazara, uczta się wpięć od „Procesu““.

JAN ZALEWSKI

HISTORIA PEWNEGO NOKAUTU

Wielkie wrzenie nie tylko we francuskim światku sportowym, lecz również w kołach bokserów na całym świecie spowodował Georges Carpentier, exmistrz świata w wadze półciężkiej, liczący dziś 62 lata. Nie ma on, oczywiście, nie wspólnego z belgijskim bokserem-amatorem o tym samym nazwisku. Ogłosił on swe pamiętniki zatytułowane „Moja walka z życiem”, przy czym rozdział, o spotkaniu z Senegalczykiem Siki w roku 1922, stał się dziś powodem sensacji.

U PAL był nie do wytrzymania, gdy do senegalskiego portu w St. Louis zawinął okręt z Buenos Aires, zmierzający w kierunku Marsylii. Jutro rano statek podniesie kotwicę, dziś odpoczywają motory i pasażerowie.

Jedni z nich w swoisty sposób zabawiają się na pokładzie. Mała srebrna moneta, podrzucona w górę, wolno spada w przejrzystą toń morza. Skacze mały Murzynek. Hebanowe ciało jaszkrawo odbina się od zielonkawej wody. Czarny dzieciak niknie w toni, a za chwilę wypływa ze srebrną monetą w ściśniętych zębach...

W zabawie tej, czy też — szczerzej mówiąc — walce o chleb, wyróżniał się mały Murzynek. Pewnie miał ze 12 lat.

Starsza, dostojna pani kiwnęła ręką w stronę chłopca.

— Comment t'appelles-tu? — zapytała twardym holenderskim akcentem.

— Louis Siki Fall — odpowiedział śmiało czarny chłopak.

— Co ty robisz, z czego żyjesz?

W odpowiedzi dzieciak wskazał na morskie fale.

— Czy chcesz pojechać ze mną do Europy?

— Naturalnie, już jadę!

— A co powiedzą na to twoi rodzice?

Wzruszenie ramionami i grymas na ustach były jedyną odpowiedzią.

Teraz zaczęły się prawdziwe kłopoty dla Holenderki, bowiem do Sikiego przyznało się 12 matek i tyluż ojców... Pokonano wreszcie trudności, a magazyny senegalskie ubrały Murzynka po europejsku. Siki miał chodzić do szkoły, niestety los chciał inaczej: Holenderka zmarła po trzech miesiącach zapisując chłopcu 10.000 franków. Było to w roku 1906.

Pieniądze szybko się rozeszły i Murzynek pozostał na bruku. W Marsylii czyścił buty i wycierał talerze, sprzedawał gazety, aż wreszcie trafił do „stajni” bokserkiej. Za pierwszą walkę otrzymał 3 franki, a za drugą już 10. Wędrował po całej Francji, walczył na mniejszych i większych ringach. Nadeszły triumfy i klęski.

W Sikim wiecznie pokutował pierwotny człowiek o szerokim sercu. Nie

zdawał sobie sprawy z wartości pieniądza. Pewnego dnia Siki, gdy otrzymał bardzo duże honorarium za walkę, rozdał strajkującym robotnikom 20.000 franków. Innym razem spotkał grupę Murzynów wypuszczonych właśnie z więzienia. Oddał im wszystkie pieniądze, które miał przy sobie. Wkrótce wyrzucono go z hotelu, bo nie miał na zapłacenie rachunku...

W owych czasach we Francji najpopularniejszym bokserem był Georges Carpentier. Był mistrzem świata w kategorii półciężkiej i stał się jednym z najbardziej popularnych obywateli Francji. Walczył przeważnie poza granicami swej ojczyzny i należało go wreszcie pokazać publiczności francuskiej. Szukano dla niego odpowiedniego przeciwnika. Wybór padł na Sikiego.

Jeśli chodziło o wyszkolenie techniczne, to pomiędzy tymi rywalami istniała różnica klasy. Siki był niesłychanie silny fizycznie, lecz nigdy nie zgłębił prawdziwej sztuki pięściarskiej.

— Nie można dopuścić do iatki — protestował menażer Carpentiera. — Ta walka zakończy się w pierwszej rundzie...

Data spotkania została ustalona, miało się ono rozegrać na stadionie Buffalo w Paryżu, pod otwartym niebem. W dniu 24 września 1922 roku. Publiczność była przekonana, że mecz zakończy się bardzo szybko, choć wiadano, że Carpentier mało trenował i waka-cie spędzał wesoło nad morzem w Deauville, gdzie bodaj ani razu nie zakładał rekawic. Jednym słowem, nie było tajemnicą, że mistrz świata traktował walkę z Murzynek jak nie mający znaczenia „spacerek”.

Walka rozpoczęła się od błyskawicznego ataku białego, Murzyn lekko trafiony prawą niespodziewanie padł na kolana. Sędzia ringowy skrzyzczał go, mówiąc, że tchórzy.

W drugim starciu Carpentier otrzymał jakiś zablakany cios rozpaczy i zachwiał się pod nim nogi... Bodaj wtedy Siki zrozumiał, że bynajmniej nie stoi na straconej pozycji.

Gong wezwał do trzeciej rundy; Carpentier boksował teraz uważniej i obtańcowywał przeciwnika, lecz nie potrafił go trafić. A tymczasem sam zainkasował ciężki cios w żołądek. W czwartej Carpentier wreszcie uderza

z całej siły, lecz jego cios nie był precyzyjny, ześliznął się po twardej czasce. Uważni widzowie spostrzegli, iż Georges skrzywił się z bólu, zapewne uszkodził rękę. Być może zauważył to również Siki, który nabrał zaufania we własne siły. Straszliwy sierpowy posłał Francuza do pięciu na deski. Widownia zamilkła.

W piątym starciu na ringu był już tylko sam Siki. Georges chwiał się na nogach i uchylał od walki. Stało się jasne, że jest on zupełnie bez formy.

Zbliżała się tragedia. W szóstej Carpentier zupełnie bezsilny pada na deski z okrwawioną twarzą. Jego sekundant rzuca ręcznik na znak poddania. Lecz sędzia ringowy ogłasza dyskwalifikację Murzyna... ponieważ jakoby ten podstawił nogę. Tłum zaryczał. Trzeba było zmienić decyzję. „Wielki Georges” przegrał przez nokaut, stracił tytuł mistrza świata.

Od tego sensacyjnego meczu minęły 32 lata i dopiero teraz prawda wyszła na jaw. Niedawno Carpentier opublikował swe pamiętniki i opisy kulis dramatu na Buffalo. Jak się okazuje, podpisał on kontrakt z jednym z przedsiębiorstw filmowych. Walka miała być nakręcona, za co Georges i jego menażer otrzymali specjalne honorarium. Lecz filmowcy postawili warunek; zapłacimy, dobrze, lecz żądamy, aby spot-

kanie trwało przynajmniej przez pięć rund. Carpentier zobowiązał się, że przed upływem tego czasu nie znokautuje swego przeciwnika. Nie przypuszczał, że sam stanie się ofiarą brudnego interesu...

Rewelacje Georges’a wywołały we Francji olbrzymie wrażenie. Przyniósł nim wielkiego dzentelmena ringu. Wokół tej sprawy toczą się w prasie dyskusje. Są i tacy, którzy twierdzą, że Carpentier słusznie by uczynił, gdyby swą tajemnicę zabrał do grobu...

Zapewne zapytacie, jak się na to wszystko zapatruje Siki. Niestety, ten człowiek nie może powiedzieć, gdyż już dawno nie żyje. Po zwycięstwie nad Carpentierem wyjechał do Ameryki i dostał się w ręce tamtejszych menażerów. Któregoś dnia zaproponowano mu, aby zremisował walkę z młodym bokserem, lansowanym na gwiazdę. Murzyn znokautował młodzieńca już w pierwszej rundzie i gdy schodził z ringu, powiedział:

— Patrzcie, co zrobiłem z waszą gwiazdą!

W ten sposób Senegalczyk podpisał wyrok śmierci na samego siebie. W kilka dni później, gdy wychodził z jakiegoś nocnego lokalu, otrzymał siedem kul.

K. GRYŻEWSKI

„JANOSIK” i BIGOS

DZIAŁO się to mniej więcej przed miesiącem, na stacji kolejki na Myślenickich Turniach. Chcieliśmy sfotografować „Janosika”. Zeby nie było nieporozumień, powiedzmy od razu, że jest to prototyp przenośnego wyciągu narciarskiego krajowej produkcji.

Pod koniec sezonu 1952/53, w kwietniu czy też maju, przeprowadzono pierwsze próby „Janosika”. Wypadł on pomyślnie i prototyp ustawiono pod kaloryferem na Myślenickich Turniach, gdzie miał pozostawać do następnego sezonu. Jednocześnie zamówiono 5 sztuk tego rodzaju wyciągów w Bielskiej Fabryce Maszyn.

Wyciągi miały być gotowe w sezonie 1953/54. A tymczasem sezon minął... a zamówionych „Janosików” jak nie było, tak nie było. Ba! — nawet ten spod kaloryfera stał nadal i grzał się. Tam też „pozował” nam do zdjęcia.

W bieżącym sezonie pojawiły się nareszcie dwa „Janosiki”. Jeden z nich już po pierwszym dniu odmówił posłuszeństwa. Dlaczego?... Bo nikt nie wiedział, jak się z nim obchodzić. Nikomu bowiem w fabryce nie wpadło do głowy, że trzeba wraz z wyciągiem dostarczyć odpowiednie instrukcje, jak należy go używać.

W roku 1954 nowych wyciągów nie zbudowano. Dlaczego? Bo cały rok upłynął na dyskusjach: kto w tzw. ubocznej produkcji powinien je wytwarzać — czy przemysł motoryzacyjny czy też elektryczny.

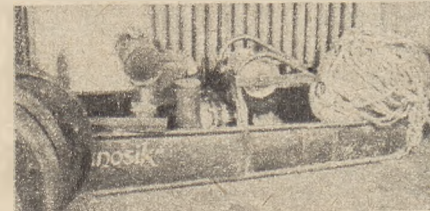
Było to przed niespełna rokiem. Znalazłem się na stacji kolejki linowej na Szynszeli, jako jeden z tych, którzy chcieli spróbować jazdy na linach. Chętnych znalazło się bodaj z tysiąc, a kolejka mogła przewieźć na godzinę zaledwie 300 pasażerów. Rezultat: szłyby na górnej stacji zostały powybijane. Po 10 miesiącach znów znalazłem się na Szynszeli. Nic się przez ten czas nie zmieniło. Szybko nie zostały wprowadzone, a okna pozabijał dyktą któryś z dyżurnych, bo mu pewnie wiatr zbyt dymuchał w oczy.

Było to półtora roku temu. W prasie pojawiły się notatki o budowie wyciągu krzeselkowego na Skrzyczne w Szczytku. Do pracy przystąpiono w roku 1954. Tempo robót jest jednak takie, że nawet najwięksi optymiści nie przewidują uruchomienia wyciągu przed rokiem 1959, chociaż „krzeselka” na Skrzyczne obliczono już na bieżący sezon.

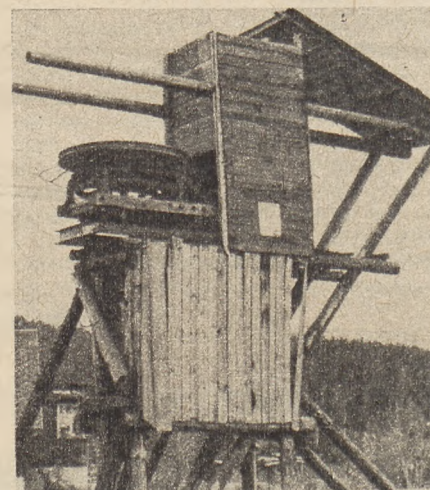
Było to w latach 1946-47. Amatorzy narciarstwa, miłośnicy piękna Karpacza, Szklarskiej Poręby i Bierutowa cieszyli się z rozpoczęcia budowy wyciągów w tych trzech miejscowościach. Minęły lata, konstrukcja żadnego z nich nie została zakończona. Podobno by’by źle zaprojektowane i dlatego zarzucono ich wykonanie.

Oczywiście należało przerobić projekty, a obiekty dotychczas wykonane miały ponoć zabezpieczyć DOKP Wrocław. Ale z tą opieką to musiało być różnie... bo część instalacji rozkradziono, żelazne fragmenty zżarła rdza, a drewniane przegniły. W roku 1951 przybyła komisja. Oglądano, dyskutowano i wreszcie urządzono, że jeden z wyciągów nadaje się do wykończenia. I na tym się skończyło. Od trzech lat nic się nie robi.

Powróćmy do Tatr. Ile razy jestem na Kasprowym, tyle razy żał mi na serce chwytając, gdy oglądam nieczynny wyciąg przenośny. Niestety, na Kasprowym Wierchu wyciąg saniowy nie ma widoków na eksploatację, ponieważ u-



Na Myślenickich Turniach stoi nie używany „Janosik”, który tam pozostawał przez cały sezon 1953/54.



Wyciąg saniowy w Karpaczu niszczone od 1948 roku, pozostawiony bez opieki. Budowa została przerwana.

ruchomić go można dopiero w lutym, kiedy śnieg jest już uleżały. Każda dymka, czy też nowa śnieżnica może go w każdej chwili zatrzymać na kilka dni. Projekt przerobienia wyciągu na krzeselkowy spotkał się z protestem Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Mówiono również o przeniesieniu wyciągu do Poronina na Galicową Grapę i urzędzenia tam wjazdu krzeselkowego tak, aby był on atrakcją dla Poronina. Plany te nie zostały zrealizowane.

Ostatnio, jak podała prasa, przerabiano wyciąg saniowy na Kasprowym Wierchu, trudno jednak liczyć, że będzie on w tym sezonie oddany do użytku.

Każdy zapyta: Jakże są powody tej dziwnej gospodarki? Trzeba wiedzieć, iż inwestorem kolejek i wyciągów jest Komitet dla Spraw Turystyki. Projektuje zaś nowe inwestycje biuro, które z kolei podlega Zarządowi Inwestycji Kolejowych, a od 1 stycznia 1955 r. resortowi budownictwa. Eksploatacja kolejek starych należy do Państwowych Kolei Linowych, które znajdują się pod zarządem Dyrekcji Okręgowej K.P. w Krakowie. Wyciągi przenośne eksploatuje kadra narciarska oraz zrzeszenia podległe GKKF.

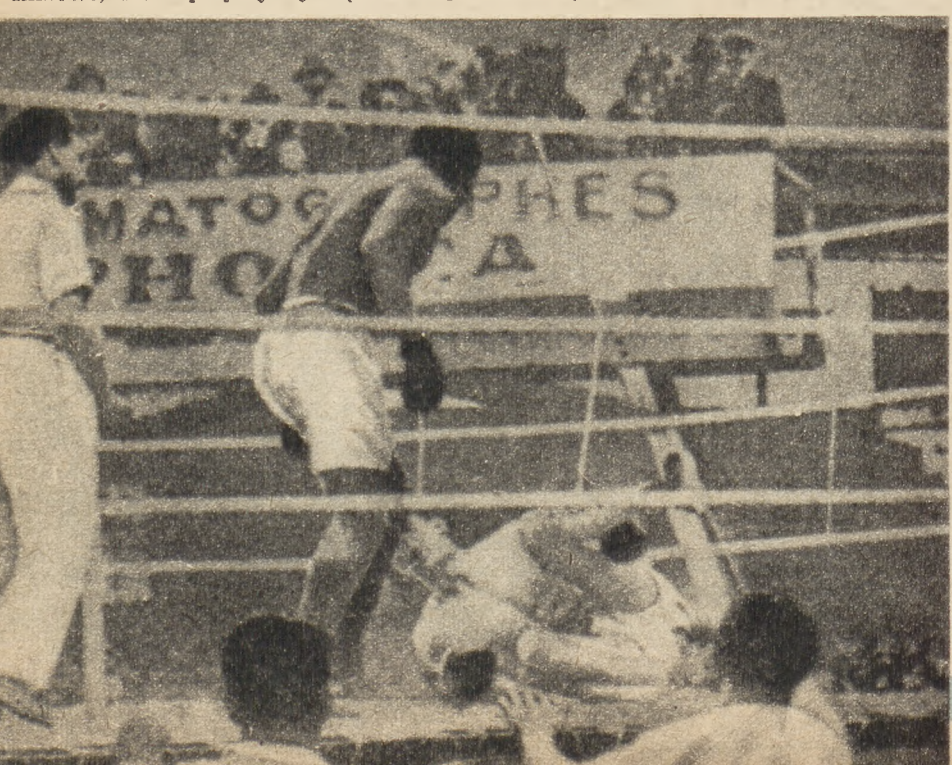
Bigos — można powiedzieć — niestrawny. W myśl przysłowia: „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”.

A setki i tysiące narciarzy czekają, aż ktoś potrafi ten niecodzienny bałagan doprowadzić do jakiegoś porządku.

TADEUSZ PALACZ

Zdjęcia: E. PRZYBYLSKI i W. WERNER

Rozpoczął się dramat. Georges Carpentier po potężnym ciosie Sikiego powędrował na deski i stał się niezdolny do dalszej walki. Na dalszym planie widać aparaty filmowe, które przyczyniły się do niespodziewanej klęski popularnego Carpentiera.





Bogdan Niewinowski. „Rok 1944”

POLSKI „SZTORM”

Napisał
J. A. SZCZEPAŃSKI



Ryszarda Hanin. „Rok 1944”

Zdjęcia: COPIA (E. Hartwig)

WLADYSŁAW KRASNOWIEC-KI od dawna był gorącym zwolennikiem, zapalnym obrońcą sztuki Kuśmierka. Jako kierownik artystyczny Teatru Domu Wojska Polskiego w Warszawie podjął się jej inscenizacji i reżyserii i bronił jej przed różnego rodzaju sceptycyzmem, ostrożnictwem, krytykanctwem.

A było czego bronić i było się o co „bić”. Sztuka Kuśmierka wyłamuje się bowiem z szablonów, śmiało wprowadza nowy temat do dramaturgii polskiej, o sprawach ważnych opowiada niezadawkowo, nietuzinkowo — widać, że autor głęboko przeżył i przemyślał zagadnienie, które wziął na kanwę swej pracy twórczej.

Ale o jaką sztukę chodzi?

Wyjaśnijmy wszystko od początku.

Józef Kuśmerek napisał sztukę pt. „Rok 1944”. Nie pierwszą w swoim życiu autorskim, ale pierwszą, wprowadzoną na scenę. Gdy zbiór jego krytycznych reportaży — „Uwaga, człowiek!”, ujrzał światło druku, wzbudził dyskusje ostre jak pióro, którym zadziorny, zadzierzasty pisarz szkicował podpatrzoną rzeczywistość. Z tego zbioru opowiadanie „Sprawa jednego konia” przerobił Kuśmerek na scenę. Ta sztuka nie ujrzała światła teatru. Nie zrażony autor wziął udział, i zdobył jedną z nagród, w konkursie na sztukę o tematyce Dzieśięciolecia. W tej drugiej sztuce Kuśmerek — podobnie jak Kazimierz Korcelli, kolega w konkursie i nagrodzie — zwrócił się do najwcześniejszego okresu nowej epoki, do dni zakładania fundamentów Polski Ludowej. Korcelli w „Domu na Twardej” nawiązał do historycznej, sylwestrowej narady, która powołała do życia KRN. Kuśmerek w „Roku 1944” ukazał wycinek ówczesnej embrionalnej Polski między Bugiem a Wisłą, pierwsze miesiące, dni niedługo świeżo wyzwolonych obszarów, przejmowania ich w nową, ludową administrację przez ludzi PKWN.

Stając oko w oko wobec takiego tematu nie mógł Kuśmerek pominąć ani niesamowitych wprost trudności owego praokresu Polski Ludowej, ani nasilenia walki klasowej, która zwłaszcza na wschód od Wisły tliła się i wybuchała płomieniami już w okresie okupacji, a po wyzwoleniu rozgorzała natychmiast w pożary sabotażu, dywersji, mordów i skrytobójstw, terroru band. Nie mógł pominąć bohaterstwa obok zbrodni, ogromu spraw małych i wielkich, splatających się w heroiczny chaos, z którego miało wyłonić się nowe życie narodu — musiał więc, za wzorem sztuk radzieckich, związanych bezpośrednio z dziejami lat rewolucji, ująć temat w szeroki, epicki obraz ludzi i wydarzeń. Czy dał sobie z tym radę?

Znajdujemy się w małym powiatowym miasteczku, świeżo wyzwolonym przez Armię Radziecką i Wojsko Polskie. Za Wisłą jeszcze Niemcy, Warszawa w ogniu. W miasteczku zakłada się — jak to mówiono — pierwsze zryby nowej ludowej władzy i sprawiedliwości. Uosabia ją młody partyzant z AL,

Bogdan, mianowany komendantem M.O. w powiecie. Ów Bogdan, oddany sprawie ludu na śmierć i życie, zanadto jednak przejął się partyzanckim stylem pracy, by nie miał popełniać omyłek, z omyłką popadać w groźne błędy. Polityczna krótkowzroczność, porywczosć nie hamowana rozsądkiem, poniekąd samowola i naruszanie ludowej praworządności — oto główne winy Bogdana, które stara się w nim zwalczyć Ola, sekretarz KW PPR, wcielenie mądrości partii i zdolności przewidywania, dobroczynna siła, czuwająca nad Bogdanem, interweniująca w odpowiednich momentach, prostująca kręte ścieżki, wytyczająca jedynie właściwą drogę.

Bogdana gra w Teatrze Domu Wojska Polskiego Bogdan Niewinowski, gra bardzo dobrze, ukazując przekonująco zarówno ideowość Bogdana, jak i jego nieopanowanie i niecierpliwość, prowadząca do tak wielu szkód. W roli nieomyślnej Oli mocuje się Ryszarda Hanin z zimnym rezersem i absolutną, antydramatyczną nieskazitelnością tej postaci — i, co powiecie, wychodzi zwycięsko z zapasów, udowadnia, że gorący, ideowy aktor potrafi ożywić nawet tak bezcielesne upostaciowanie czystej idei, jaką jest Ola!

Obok problemu Bogdana wysuwa się w sztuce Kuśmierka na czoło problem AK z owych dni. W powiecie na czele AK stoi major o grzmiącym pseudonimie Grom — w cywilu jasnie pan Ziembicz, obszarnik i hrabia. Dla Groma po wyzwoleniu walka bczywście dopiero się zaczyna, zacieka — a nie pozorowana jak w stesunku do Niemców — walka z „przeklętym bolszewizmem”, z „zarazą peperowską”. Tak, dla Groma i jego zaufanych podkomendnych rozpoczyna się walka z Polską Ludową — ale nie weźmie w niej udziału większość szeregowych AK, którzy szczerze chcieli się bić z faszystami, a do powrotu Polski sanacyjnej nie wzdychali. W mocnych, dramatycznych spieciach ukazuje Kuśmerek rozpad ideowy oddziału Groma w obliczu tworzącej się Polski Ludowej. Grom — wyraziście gra tego Brza-Komorowskiego w skali powiatowej Jerzy Pichelski — i jego ludzie zbrojną dywersją usiłują przeszkodzić ustaleniu się nowej władzy, walczą z reformą rolną itp. — gdy tymczasem uczciwi akowscy chłopcy, jak Jeleń, drobniomieszczaństwo jak Ohmura, inteligenci jak Doktor, porzucają konspirację, wielu z nich zgłasza się od razu do ludowego wojska.

Te trzy postaci — Jelenia, Chmurę i Doktora — których losy po zerwaniu z Gromem kształtuje Kuśmerek bynajmniej nie sielankowo — wyborne odtwarzają Antoni Jurasz, Bohdan Ejmont i Stefan Wroncki. W całym przedstawieniu znać zresztą troskliwość reżysera, który pewną ręką prowadzi zespół, sprawnie wiedzie liczne sceny zbiorowe, celnie wypunktowuje puenty, zręcznie osłania nieporadność trzeciego aktu, w którym

już autorowi zabrakło potrosze tchu. Jeżeli do tych uwag dodamy, że Witold Filler trafnie gra — wybor — nie zresztą i przez autora napisaną — rolę 13-letniego partyzanta i milicjanta Waldka, że Kazimierz Chętanowski i Katarzyna Żbikowska plastycznie ukazują godną parę woźnych, symbolizujących niezmienność pewnych małych spraw i ludzi — i jeżeli dodamy, że dwie dekoracje Jana Kosińskiego stworzyły poprawne ramy dla dziejących się na scenie wydarzeń — stwierdzić nam wypadnie, że całość przedstawienia „Roku 1944” jest udana i że Teatr Domu Wojska Polskiego może je zanotować jako najlepsze swe osiągnięcie w latach ostatnich.

Sztuka pozornie kończy się tragicznie. Ginie Ola od zdradzieckiej kuli, podczas gdy Grom wymyka się z oblavy, a jego główny pomocnik „Skrzetuski” przycupnął w starostwie i uniknął zdemaskowania. Ale owo „złe” zakończenie ani w cząstce nie oznacza pesymizmu: Ola umiera pod wtór wieści o przełamaniu frontu i wyzwoleniu Warszawy, ludowa władza ogarnia zwycięsko całą Polskę, a Grom i Skrzetuski przedziejczy później zostaną unieszkodliwieni. Mogły popełniać takie czy inne omyłki tysiące Bogdanów, partia prostowała ich kroki, wiodła i wiedzie naród do nowej Polski. Starcie rewolucji i kontrrewolucji nie mogło wypaść na korzyść tych, którzy chcieli historię zahamować i cofnąć.

W niespełna dziesięć lat po Wielkiej Rewolucji Październikowej narodził się w Związku Radzieckim epicki teatr rewolucyjnego romantyzmu, znany pod nazwą klasyki radzieckiej. W dziesięć lat po powstaniu Polski Ludowej pojawiła się na naszych scenach sztuka, która śmiało nawiązuje do form i osiągnięć tej klasyki. Poczet sztuk tego stylu rozpoczął w ZSRR znany i w Polsce „Sztorm” Billa-Bielokercowskiego. Czy „Rok 1944” jest polskim odpowiednikiem „Sztormu”? Pomimo wszelkich zastrzeżeń co do artystycznej pełni „Roku 1944” — odpowiedź musi chyba wypaść pozytywnie.

Sztuka Kuśmierka odkryła w reportażystyce zdecydowane uzdolnienia dramatyczne: zalety „Roku 1944” bezwarunkowo przeważają nad usterkami nieodłącznymi od scenicznego debiutu. Debiutu teatralnego, nawet tak pomyślnego jak Kuśmiera, nie da się nie okupić. W „Roku 1944” ten okup nie jest nawet skąpy, składa się nań pewien prymitywizm psychologiczny niektórych postaci, skłonność do efektów artystycznych podrzędnych, uproszczona psychika niektórych akowców i uproszczone szczegóły obrazu ich rozkładu. Upośledzenie postaci kobiecych na koszt męskich jest widoczne. Ale te wady (i wiele innych, nie do przeoczenia) nie przekreślają poważnych zalet utworu.

ADOLF RUDNICKI

Niebieskie kartki

DWA LISTY

I.

WCZORAJ jak co dzień wstałem o piątej rano, zapaliłem światło i zasiadłem do pracy; w zimowym poranku światło elektryczne ma szczególnie urok. Obłożyłem się pamiętnikami, których tak wiele powstało po wojnie, i które przeżyją prawdopodobnie niejedno nagrodzone, wyróżnione, szumne dzieło i chciałem zabrać się do pisania. Naraz zamyśliłem się: sumując w pamięci tysiąc faktów, które sam przeżyłem, lub znałem z opowiadań, zobaczyłem — na odległość ręki — dzieło na miarę największych, jakiegoś nowego Homera, jakąś nową Komedie Ludzką. Teoretycznie w pokoju, gdzie siedziałem, istniały warunki na to dzieło, tak mi się przynajmniej wydawało, a jednak czułem i wiedziałem już na pewno — co za smutek! — że nie ja je napiszę, ani — co za pocieszenie! — nikt ze współczesnych. Sto małych rzeczy wzięło mi ręce, zupełnie jak we śnie, kiedy wystarczy wykonać drobny ruch ręką, by się uwolnić, a jednak tego ruchu nie można wykonać. W tej samej chwili, w tym samym pokoju, na tym samym miejscu, gdzie siedziałem, zobaczyłem — jakie 30 — 40 lat później — człowieka piszącego to upragnione przez wszystkich potężne dzieło o naszych czasach. Sam piszący ledwo pamiętał je z odległego dzieciństwa. Widziałem tego człowieka tak dokładnie, że go sobie nawet narysowałem. Rysunek schowałem do szuflady i mogę ci w każdej chwili pokazać.

A teraz, Tadeuszu, proszę zrobić coś, żeby przestali nas zadrezczać Homerem i Balzakiem! Nie będzie ich! Nie będzie ani jednego, ani drugiego. Nasza epoka dała światu antybiotyki, rozłożyła atom, ale nie da sztuki, z tym trzeba się pogodzić. Ktokolwiek żyje w sztuce, musi sobie powiedzieć: żyje niżej. Tadeuszu, żyjmy więc niżej! Żyjmy niżej!

II.

Nie niżej! W żadnym wypadku niżej! Twój list dowodzi, że nie widzisz, co się naokoło dzieje, patrzysz na świat wczorajszymi oczami i widzisz wczorajszy świat. Czytaś wczorajsze książki, a wydaje ci się, że znasz dzisiejszą literaturę. Językiem współczesnej literatury jest film. W każdej szkole filmowej powiedzą ci, że reżyser jest prawą ręką, a operator lewą ręką autora, obaj realizują tylko to, co autor napisał. W filmach angielskich, włoskich, radzieckich i francuskich epoka nasza otrzymała porcję wrzuseń typu literackiego nie mniejszą, aniżeli epoki, które pod tym względem uchodzą za nasyczone. Pod tym względem nie jesteśmy mniejsi od nikogo. Każdy z nas zawdzięcza filmowi wrzucenie, jakich książek dawno nie zawdzięcza — jakie książki zawdzięczał kiedyś w dzieciństwie. Film wrzusza mocniej niż książka, do słowa dodaje żywego człowieka, muzykę, barwę, a Bóg jeden wie, co jeszcze doda w najbliższym czasie! Film jest wynalazkiem takim, jak niegdyś druk, geniusz epoki zawarty jest w filmie „jako takim”, natomiast jego duszę, duszę filmu artystycznego, filmu-opowieści stanowi literatura i tylko literatura, powtarzam tutaj myśl Karola Irzykowskiego, wypowiedzianą dwadzieścia kilka lat temu. Należy mówić o dwójce koni ciągnącej zaprzęg literatury — o filmie i książce na równi. Każde dzieło literackie o rozgłosie już dzisiaj — na całym świecie — idzie z miejsca na film, zostaje tłumaczone na język bardziej współczesny, powszechniejszy i przystępniejszy. Jeśli w kinie dzieło sięgnie wyżej, przestaje się tłumaczyć jako literatura, jeśli inaczej — zachowuje rację bytu jako literatura i jako film. Ktokolwiek rozważa osiągnięcia literatury, nie może pominąć osiągnięć filmu. To co XIX wiek mówił poprzez książkę, my mówimy poprzez książkę i poprzez film, ale głos obu tych instrumentów jest najczęściej ten sam.

Poza tym nie mów o Homerze i Balzaku! Nasz wyrażający niczym nie powinni przypominać tamtych. Na co powtórzenie Balzakowskiej gigantycznej inwentaryzacji typów i uczuć ludzkich dzisiaj, kiedy żyjemy pod wiszącym na nitce słońcem. Przestań z Balzakiem i Homerem — w podtekście czuję odrobinę żalu, że nie będzieś ani jednym, ani drugim — gdyż to doprowadza do tego, że publiczność potem uznaje tylko poprzez podobieństwo, a więc poprzez coś, co nie ma żadnej wartości; w sztuce liczą się tylko własne odkrycia. Potem publiczność wpatrzona w stronę N. woła: Nie widać Homera! Nie widać Balzaka! Co za nędzna epoka! Jakże karły biorą się dzisiaj do pióra! Nie ma Balzaka ani Homera, gdyż czas ich nie potrzebuje. Pociąg nadjedzie prawdopodobnie z zupełnie innej strony!

Dziecko wojny

WASZEK KANIA

Przełożył: STEFAN DĘBSKI

Rys.: TOMASZ GLEB

PIERWSZY raz przeczytałem obok swego nazwiska: „Sierota po poległym żołnierzu”. I pierwszy raz skorzystałem z tego tytułu. Dostałem na gwiazdkę cająkowe ubranie i woreczek żołnierskich sucharów. Gwiazdkę urządziło Towarzystwo Opieki nad Młodzieżą.

Pierwszy raz także widziałem na własne oczy prawdziwą pisarkę i spodobała mi się. Obdarowała nas bowiem Rużena Swobodowa. Była to miła pani, przyjemnie ze mną rozmawiała i musiałem jej obiecać, że postaram się na świadectwie o same bardzo dobre stopnie. Miała piękne, ręce o miękkich, różowych paznokciach. Szkoda tylko, że nie wszystkie panie z Towarzystwa Opieki są takie dobre i przyjemne. Niektóre są wprost wstrętne. W domu mówimy o nich pogardliwie: „babu z opieki”.

Nie są wprawdzie wszystkie z „opieki”, lecz z różnych dobroczynnych stowarzyszeń, ale niczym się od tamtych nie różnią. Znamy je już jak fałszywe pięćkoronówki.

Przychodzą zbadać nasze warunki domowe i przedstawiają się jako pracownice społeczne. Strach nas już ogarnia na słowo „społeczny”, ale musimy znosić ich opiekę i wciąż słuchać tego słowa. Drzwi nie zamykają się od tych bab, ale pomocy żadnej od nich nie mamy. Chyba, że za pomoc uważają rozdawanie nam obrazków świętych, książek do nabożeństwa i bajeczek o księżniczkach, księciach i o dobrych babuniach.

Ta o dobrej babuni jest szczególnie ładna.

Staruszka spotyka biedną dziewczynkę i odzywa się do niej:

— Jakie masz życzenie, dziewczynko?

— Babuniu, strasznie bym chciała najeść się kaszy — odpowiada dziewczynka.

— Masz skromne życzenie, dziewczynko, ale niechże ci się spełni. Weź ten oto garnuszek, postaw go w domu na stole i rozkaż mu: — Garnuszu, gotuj! Garnuszek ugotuje tyle kaszy, ile ci będzie trzeba, tylko nie zapomnij potem powiedzieć: — Garnuszu, dcsyć!

Dziewczynka ogląda stary, poobijany, blaszany garnuszek, a staruszka tymczasem gdzieś znika. Garnuszek potem gotuje, kasza kipi, wycieka z niego na stół, poprzez drzwi na podwórko, zatapia całą wioskę, i ludzie muszą się przegryzać z chałupy do chałupy przez zwaly perłowej kaszy...

Bożena czyta bajkę Pepikowi, a oczy jej płoną jak reflektory. Potem zaś oba głuptasy idą walać się nad rzekę, marząc, że może spotkają dobrą staruszkę. Staruszek jest tam sporo, łażą po hałdach żużlu, z którego wygrzebuja kawałeczki koksu, aby mieć czym palić. Babunia z garnuszkiem jednak się im nie pokazała...

Za to pokazują się babu z opieki. Po ich wizytach mamusia jest tylko markotna i znużona. Kiedy się ich spodziewamy (czasem kilka dni z rzędu), mama denerwuje się i wciąż się rozgląda po mieszkaniu, co by tu jeszcze schować przed ich oczami.

Budzik, lusterko w blaszanej oprawie, kretonowa firaneczka z półki na talerze, szczotka do ubrania i inne równie wspaniałe przedmioty zawsze wtedy znikają w ukryciu. Natomiast na światło dzienne wyjeżdża pasyjka i obraz Panny Marii, którego mama nie miała odwagi wyrzucić „tak sobie”. Płyta kuchenna bywa w te dni zimna, bez potraw, a my, dzieci — oprócz Anny i Marii — siedzimy zbite w gromadkę jak dzikie zwierzęta w cyrku przed przedstawieniem lub karmieniem. Mama ucisza małą Tońcię i Bohusza, którzy wołają jeść i obiecuje im na potem — jak te damy odejdą — to jedzenie, to znów lanie. Albo i jedno i drugie.

I tak czekamy wszyscy, patrzymy na kłamkę, kiedy ugnie się pod dobroczynną ręką. Kiedy pojawi się dobra babunia z bajki z garnuszkiem w zanadru i uwolni nas od zaklęcia.

Gdy kłamka wreszcie drgnie i drzwi się otworzą, powtarza się prawie zupełnie to samo, cośmy już tyle razy widzieli i słyszeli.

Wchodzą dwie, trzy damy, na głowach kapelusze, w rękach parasolki. Przykładają do oczu lorgnon i zachynają wywiad:

— Jesteście wdową po poległym żołnierzu?

— Tak, proszę łaski pani.

— A te tutaj — to wasze dzieci?

— Tak, proszę łaski pani.

— Wszystkie?

— Paniuńciom się wydaje, że mało?

— Wprost przeciwnie. Dużo.

— Nie zrozumieliśmy się. Dwie najstarsze corki są w pracy.

— Gdzie pracują?

— W fabryce, w Kartonce.

— No, dobrze, więc... jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... więc razem jest ich...

— Dziewięcioro, proszę łaski pani.

— Tak, ale te dwie są już na swoim chlebie.

— Na swoim chlebie... Proszę państwa! Jaki to chleb w czasie wojny?

— Tak nie mówcie, matko.

— Ja to mówię z doświadczenia, proszę paniuńci. Proszę spojrzeć jak żyjemy.

— Nie jest tak źle, matko.

— Nie? Tak paniuńcia myśli?

— Ja nie, ale wy powinniście byli myśleć. Dziewięcioro dzieci! Cóż za brak rozsądku!

— A co mam robić — mam je pozabijać?

Mamusia obciera sobie oczy, wstyd jej przed damami i najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Damy chodzą po mieszkaniu, szturchają parasolkami w nieobleczone pierzyny, jedna znacząco zauważa:

— Jeszcze mają pierzyny.

— I zaraz pytają:

— Jak to jest, że macie pierzyny?

Mamusia znowu musi się wstydzić za swoje trzy pierzyny, na które oszczędzali w służbie u bogatych chłopów i na pańskich dworach. Znowu musi wyjaśnić, że nie ma czym palić i że dzieci trzeba czymś przykryć.

Damy potem rozmawiają między sobą po niemiecku, niechętnie i powściągliwie spoglądają z daleka na chorą Bożenę, obsypaną strupami, wreszcie odchodzą, pozostawiając za sobą drzwi otwarte na oścież.

Mamusia zrywa się, podbiega do drzwi, gwałtownie je zatrzaskuje i wymyśla damom.

— Miałam was utopić? Albo zadusić? Ech, wy!

Mama krzyczy, Bohusz z Tońcią płaczą się wokół jej spódnicy, a nam jest smutno, że znowu nic z tego nie będzie. Mama potem siada na stołeczku przy kuchni i uderza w płacz. A Tońcia i Bohusz ciągną dalej swoje:

— Mamu, ja jestem głodny!

Oldrzych w łóżeczku także płacze, a gdy go matka weźmie na ręce, zмага się z jej pustą piersią. Ma już dwa lata, a wciąż ssie; wciąż jest małą odrobinką i jeszcze nie umie stanąć na nogach. Wygląda jak papająk. Ma tylko wielką głowę, wielkie oczy i wielki brzuch.

Chodzimy po kuchni z łyżkami w rękach i nalegamy:

— Mamu, ugotuj coś.

— Czemu nic nie gotujesz, mamusi?

— Przecież już południe.

Mamusia stoi na środku, oczy jej błyszcżą od łez. Boi się spojrzeć na nas.

— Dzieci, cóż ja wam dam? Co ja wam, biedna, dam...?

W największej rozpaczyci zarzuca na siebie dziurawy pled i biegnie, odprowadzana naszym wołaniem, do sklepu. Zebrać.

Czy by jej nie odstąpili bocheneczka chleba bez kartek.

Dadzą? Nie dadzą?

Sprzeczamy się o to w domu, choć to i tak obojętne. Jeżeli nawet dadzą, będzie to tylko niepozorna kropła w straszliwym morzu...

Szkola jest całkowicie zajęta wojną. Zbiera się złom metalowy, ze starych szmatek bawełnianych robimy szarpie dla szpitali polowych, w szkolnej kaplicy odprawiają modły za zwycięstwo i za cesarza. W cytankach mamy opowiadania o dzielności żołnierzy austro-węgierskich i ofiarności wszystkich poddanych, którzy prześcigają się w chęci niesienia pomocy ukochanej monarchii. Na przykład pewna matka, której siedmiu synów poległo na polu chwały, została przyjęta na audiencji przez samego cesarza w Wiedniu, a kiedy cesarz chciał ją obdarować, rzekła się wszystkiego na rzeczkę Czerwonego Krzyża. Dodała do tego jeszcze wszystkie swoje klejnoty rodzinne. W jakimś mieście ludzie zrobili żołnierza ze śniegu i do ręki włożyli mu blaszaną skarbonkę. Był wieczór, padał gęsty śnieg i przechodniom wydawało się, że tu zbiera na cele wojenne prawdziwy żołnierz. I rano (o dziwo) skarbonka była pełna. Ofiarność została przeliczona na korony: suma wyniosła 362 korony 68 halerzy. Tak pełni są ludzie entuzjazmu dla wojny i swego władcy.

Ale naszego nauczyciela, pana Żitnego, bynajmniej nie rozpala myśl o zwycięstwie wojsk austro-węgierskich. Wiemy o tym wszyscy z jego uwag, czujemy to, kiedy nam opowiada o wojnach husyckich, o Janie Žižce z Trocnowa, o Prokopie Holnym, o najsławniejszej epoce naszego narodu. Zawsze, kiedy dobrze odpowiadamy na lekcji, nagradza nas kwadransiem czytania. Wyciąga wtedy ze skrytki w szafie „Śląskie pieśni” Piotra Bezrucza i recytuje nam jedną z nich. Potem opowiada o czarnym kraju ostrawskim, gdzie wszystko jest z węgla, gdzie nawet chleb ma smak tego czarnego minerału.

I jako zadanie poleca nam napisać piosenkę o górnikach.

Dla tych chwil chętnie chodzę do szkoły. Recytacje wierszy Bezrucza, czytanki o zwierzętach Thompsona

Drukowany przez nas fragment pochodzi z autobiograficznej powieści Waszka Kania. Za temat posłużyły autorowi przeżycia w sierocińcu, a później w domu poprawczym w okresie I wojny światowej i tuż po jej zakończeniu. Przypominamy polskiemu czytelnikowi, że Waszek Kania, laureat czechosłowackiej nagrody państwowej jest autorem granej na naszych scenach sztuki „Brygada szlifierza Karhana”.

„Dziecko wojny” ukaże się nakładem ISKIER.

Setona mają taką samą siłę przyciągającą i taki sam urok jak nasze opowiadania przed snem. Pozwalają zapomnieć o głodzie, o zimnie i o wszystkich kłopotach naszego życia czasu wojny.

Szkola na Zatorach jest dla mnie odświętnym, czystym miejscem, a nasz nauczyciel, którego z powodu jego brody nazwaliśmy Janem Husem, wydaje mi się najszlachetniejszym człowiekiem na świecie. W szkole opada ze mnie smutek domowego nastroju, nie słyszę płaczu głodnego rodzeństwa i nerwowego, rozdrażnionego krzyku matki. Uważam szkołę za swój dom. Szkoda tylko, że nie mogę tam chodzić codziennie; jedną parą butów musimy się bowiem dzielić we troje: Pepik, Bożena i ja. Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym miał własne buty!

Pan Czeszpiwa, nasz opiekun, obiecuje nam buty od przeszło roku, a butów wciąż nie ma. Wierzmy, że napisał o nie prośbę, może nawet sto prośb, ale wi-



docznie musiały gdzieś zaginać, albo też w tej opiece społecznej nikogo nie interesuje los sierot po poległych żołnierzach. Już naprawdę nie wiem, jak się w szkole usprawiedliwiać, już się panu nauczycielowi wstydzę pokazywać na oczy...

Po Nowym Roku mieliśmy napisać wypracowanie domowe o świętach Bożego Narodzenia. O tym, jak je przeżywaliśmy, cośmy widzieli pięknego na ośnieżonych praskich ulicach i w przyrodzie. Przyroda to wielka miłość naszego nauczyciela i, kto ją umie opisywać, tego uważa za zdolnego ucznia.

Czytaliśmy nasze zadania stojąc na stopniu katedry i pierwszy otrzymał pochwałę jeden z najlepiej piszących, Kowanda. Napisał:

„Matka-przyroda przygotowała nam w tym roku wiele radości na święta Bożego Narodzenia. Wszędzie nasyłała bielutkiego śniegu, otuliła nim drzewa w ogrodach i okryła całą Pragę. Chodziłem z kolegami bawić się śniegiem, budowaliśmy bałwany i bardzośmy się cieszyli z uroczych świąt. W domu z siostrą puszczałyśmy po wodzie łupinki z orzechów. Śpiewaliśmy także z mamą kolędy i przed snem modliliśmy się do Boga, by nam wnet przysłał tatusia z wojny do domu. Do stałem na gwiazdkę książkę „Robinson Crusoe”.

Pan nauczyciel pochwalił Kowandę, troszkę mu było żal, że ten nie napisał więcej o przyrodzie. Zima jest przecież tak piękna, jeśli tylko chcemy to piękno zauważyć: śniegiem osypane gałązki drzew, okna malowane przez mróz, szarość nieba kładąca się na białym całunie śnieżnym, Wełtawa zaszklona przejrzystym lodem...

No, cóż, innym razem Kowanda napisze to ładniej. O przyrodzie zapomniawszy zupełnie Swaczek, co ani nauczyciela, ani nas wcale nie zdziwiło. Swaczek myśli zawsze tylko o żołądku i tak napisał:

„Święta są dlatego, że narodził się odkupiciel, Pan Jezus, a ja bardzo się cieszyłem, że będziemy mieli gwiazdkę. Ale mamusia powiedziała, że teraz nie ma pieniędzy. Upiekła na wigilię placek, skórkę miał jak u chleba. Kawę mieliśmy bez niczego, bo nie można było dostać sacharyny. Mamusia złościła się i narzekała, że wciąż jest nędza, i choinki też nam nie kupiła przez tę nędzę. Cieszę się, że będą jeszcze inne święta“.

Wprawdzie pochwały nie dostał, ale nauczyciel pogłaskał go za dobre chęci. Potem wywołał do tablicy Müllera, a ten zaczął wstydliwie, rwącym się głosem czytać:

„Święta Bożego Narodzenia mieliśmy bardzo smutne. Tatuś przyjechał z wojny na urlop i wszyscy płakali. W nocy, gdyśmy spali, lufcik był otwarty i kiedy wiatr nim uderzył, tatuś zbudził się z krzykiem: — Już idą po mnie! Zbudził nas wszystkich i baliśmy się, że zwariował. Ale rano już mu nie było, tylko nic nie mówił. Mamusia powiedziała, że wojna jest przeklęta i że na niej zabijają ludzi. Nie chcę już żadnych świąt ani gwiazdki. Chcę tylko, żeby już nie było wojny i żeby tatuś nie musiał dać się zabić“.

Ostatnie zdanie przeczytał płacząc. Nauczyciel chwilę patrzył w stronę ławek, a potem odezwał się cicho.

— Tak, chłopcy, wojna jest straszna. — W klasie było tak cicho, że słyszałeś własny oddech. Nauczyciel wyrwał Rouszala i zapytał:

— Rouszal, powiedz nam dlaczego wojna jest straszna?

— Dlatego... dlatego, że na niej zabijają ludzi.

— Słusznie. A jak myślicie, dzieci: — czy musi być wojna?

Cała klasa odpowiedziała na jego słowa chóralnym NIE!

Nauczyciel ciągnął poważnie:

— Tak, chłopcy, o wojnie decydują ludzie. To znaczy my wszyscy. Od nas zależy, czy ludzie będą nadal zabijani. Decyzja o wojnie znajduje się w naszej mocy.

Zrozumieliśmy, zgodziliśmy się z tym.

— Czy pochwalimy Müllera za jego piękne opowiadanie?

Pochwaliliśmy. Za to, że napisał to wszystko, cośmy czuli, ale nie umieliśmy napisać.

Ze szkoły wypędziły mnie syberyjskie mrozy. W domu nie ma czym palić, za dnia dzieci leżą w łóżkach woda nam zamarza w garnkach na kuchni.

Stałem się „baronem węglowym“, złodziejem węgla.

Na kradzieże chodzi prawie cały nasz dom, cała nasza ulica. Zostały już spalone niemal wszystkie strzeżone i nie strzeżone parkany fabryczne, na hałdzie koło elektrowni wybrano spośród żużla ostatni kawałek koksu. A termometr spada dalej, poniżej dwudziestu stopni Celsjusza.

Jedynym składem węgla, gdzie nie wisi tablica WĘGLA NIE MA, jest pobliska parowozownia. Dlatego stała się celem hołszowickich „baronów węglowych“.

Każdego ranka o godzinie czwartej sąsiadka Kacowska obchodzi ganeczki od drzwi do drzwi i mocno puka:

— Pani, wstawać! Idziemy.

Matka bywa już przygotowana, poowijana szmatami. Ściąga mniej z siennika:

— Stando! No, dalej. Stando! Słyszysz, Kacowska puka...

Nie bez pewnego wysiłku udaje się jej zawsze ściągnąć mnie na nogi i nakłonić do ubierania. Wymykamy się z domu pojedynczo, po dwoje, i skradamy w cieniu kolejowego płotu w stronę parowozowni. Tutaj kobiety skaczą przez ogrodzenie lub wyrwywają dwie deski i przez powstałą dziurę wciągają do środka. Wdrapują się na tendry lokomotyw i rękami zgarniają lodowato zimny węgiel do worków. Strażnikiem jestem tylko ja, ponieważ pilnujący tu kolejarz nie chce nic widzieć ani słyszeć.

Stoję koło płotu i wpatruję się w ciemność, w stronę gazowni i rzeźni, czy przypadkiem nie nadchodzi policjant.

Podskakuję przy tym, aby zagrzać ziębnące nogi i trochę się boję w tych pierwszych dniach, zanim przywyknę, zanim sam siebie przekonam, że to nie jest właściwie kradzież i że się nie sprzeniewierzyłem powiedzeniu:

— Uczciwością zajdziesz najdalej...

Kiedy z ciemnością za plecami idę z kobietami na mnie zdyszczonym głosem: Stando! Nikt nie idzie?... dreszcz mi przebiega po plecach. A gdy obok mnie upada ciężko matczyn pełny worek i przeleże przez dziurę, aby się wdrapać na węglarkę, trzęsę się jak osika.

Kobiety tu pokrzykują na siebie, ja zaś stale słyszę:

— Kuźmo, cudza rzecz święta, popraw się, nie kradnij!

Słyszę Liczyrzepę z Karkonoszów, jak w czytance woła na Kuźmę, który chodził na cudze pole zbierać, czego nie posiał... Straszno mi, zanim się z tym oswoję. Potem się już cieszę z napelnionego, wąskiego jak kieszka worka, w którym trzeszczą węglowe orzechy. Jest tego dobrych piętnaście kilogramów.

DALSZY CIĄG W NASTĘPNYM NUMERZE

SWIAT

o tym wie!

PODEJRZANY SENATOR

W rozgrywce pomiędzy senatorem McCarthy a jego przeciwnikami z partii republikańskiej zaangażował się m. in. senator Ralph Flanders, stary działacz republikański ze stanu Vermont. Senator McCarthy postanowił wykończyć swego oponenta i sięgnął do jego stosunków rodzinnych. I cóż się okazało? Straszne rzeczy. Pisz o tym „New York Times“ z dnia 9 listopada 1954 roku:

„Senator Flanders przyznał, że brat żony Algera Hissa jest rozwiedzionym mężem siostry żony jego własnego brata“.



Sen. McCarthy i sen. Flanders

UWAGA! KOMUNISTYCZNA INTRYGA

Od dziesiątków lat używa się w Ameryce na określenie świąt Bożego Narodzenia słowa „Xmas“, które jest skrótem od „Christmas“. Ale dopiero w tym roku, dzięki niezmordowanej czujności wielbicieli senatora McCarthy wykryło się, co za potworna intryga kryje się za tym skrótem. Ujawnił ją dziennik „Los Angeles Times“ (Kalifornia, USA) w mu-

merze z dnia 5 listopada 1954 roku:

„Czyż już zapytał sam siebie „Co mogę uczynić na polu zwalczania komunizmu?“ Oto coś dla pocztujących: pisać „Xmas“ zamiast „Christmas“ — to znaczy wysługiwać się komunistom. Żądajcie więc, by używano poprawnej pisowni „Christmas“.

Gwałtu, rety! A kto wymyślił skrót USA? Wymyślił się nie domyślać.

XMAS GIFTS
For the Entire Family

Groźny skrót „Xmas“ — pojawia się w okresie przedświątecznym w setkach pism amerykańskich

EKONOMIA RABUSIÓW

„Czasopismo „Latin America Today“ z listopada 1954 roku przynosi zwięzłe, ale za to wymowne zestawienie liczbowe:

„W latach 1946—1953 koncerny amerykańskie i indywidualni przedsiębiorcy amerykańscy wyprzedowali z krajów Ameryki Łacińskiej 21 razy więcej kapitału, aniżeli rząd Stanów Zjednoczonych przekazał do tych krajów z tytułu pomocy ekonomicznej, technicznej i socjalnej.

Zyski amerykańskich przedsiębiorstw przekazane z tych krajów do USA wyniosły 4.082 miln. dolarów.

W JEDNYM ZDANIU

Nagłówek hamburskiej „Morgenpost“ z dnia 23 listopada 1954 roku:



W przekładzie polskim:

„Jeśli jesteś biedny, musisz umrzeć wcześniej“ — powiadają lekarze“.

Oto w jednym zdaniu klasowa treść systemu leczenia w krajach kapitalistycznych. Do takiego wniosku doszli lekarze zachodnio-niemieccy na konferencji, która odbyła się w Hamburgu w listopadzie 1954 roku. Przeważającą większość uczestników konferencji stanowili ludzie o poglądach bardzo konserwatywnych.

JEDZ, PIJ I POPUSZCZAJ PASA

Nieźle się widać spaćli amerykańscy żołnierze na okupacyjnej służbie w Niemczech zachodnich, skoro dowództwo amerykańskie wydało w tej sprawie specjalny rozkaz. Donosi o tym agencja UP w depeszy z Heidelbergu (cytujemy za „New York Times“ z dn. 8 grudnia 1954 roku):

„Kwatera główna wydała rozkaz w sprawie nadwagi. Głosi on:

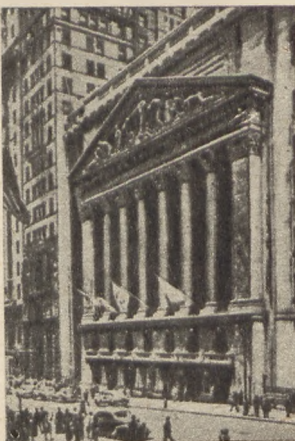
„Znaczna część personelu wojskowego wykazuje nadwagę i to w rozmiarach, które powodują, że kondycja fizyczna żołnierza nie odpowiada ustalonym w armii normom. Te normy wymagają, by każdy żołnierz potrafił zawsze sprostać niebezpieczeństwu.

„Dowództwo nakazało wobec tego kontrolę we wszystkich jednostkach wojskowych, aż do szczebla kompanii. Dowódcy otrzymali polecenie skierowania korpulentnych

kaprali i oficerów do ambulatoriów i szpitali, by zasięgnęli porady medycznej w sprawie diety i innych środków odchudzających.

„Nie zaleca się jednak zbyt forsownych ćwiczeń...“

Słusznie. Ćwiczenia mogłyby zaszkodzić osobnikom, których wygląd odzwierciedla na łamach „New York Times“ znany karykaturzysta amerykański F. Mauldin. Pas, jak widać, popuszczony jest do ostatniej dziurki...



Giełda nowojorska — serce Wall Street — twierdza rabusiów.



Trz... Trz...
— Słucham.
— Czy to 826-147?
— Tak jest.
— Proszę mówić, Olsztyn dzwoni.
— Ależ to omyłka...
— Przecież pytałam, czy 826-147?
— Tak, ale...
— Nie ma ale, jest Olsztyn, proszę mówić.
— Halo, halo! 826-147?
— Tak jest.
— Państwowa Komisja Cen?
— Nie, omyłka.
— Jak to omyłka?

— Proszę pana, to naprawdę nie moja wina, że w książce telefonicznej mylnie podano numer Państwowej Komisji Cen. Zresztą dowiedziałam się w informacii i mogę panu podać. Proszę, niech pan notuje. Już można? 6-89-88. Tak. Proszę bardzo. Tylko jedna prośba. Niech pan nie zgubi tej kartki i niech pan już więcej do mnie nie dzwoni. Dobrze?

— Nie mogę pani tego obiecać.
— Dlaczego?
— Pani ma taki miły głos, że chętnie znów zadzwonię, żeby z panią porozmawiać.
— Dziękuję za komplement, ale prócz miłego głosu mam jeszcze coś, co na pewno zniechęci pana do telefonowania.
— Ojej, co takiego?
— 70 lat.

Trz... Trz...
— Słucham.
— 9-27-75?
— Tak jest.
— Macie penicylinę oleistą?
— A z kim pan chciał właściwie mówić?
— Jak to z kim? Z apteką w Aninie.
— Połknęłam kilka godzin temu dwie pastylki „Polopiryny”, ale to chyba

lekka przesada nazywać mnie z tego powodu apteką.

— Pani żartuje, a ja potrzebuję z apteką w Aninie.
— A ja o trzeciej w nocy potrzebuję spać, ponieważ nie jestem apteką w Aninie i nie mieszkam nocnych dyżurów.

— Łakomski jestem.
— Kowalski. Zaraz, zaraz. Czy dobrze słyszałem? Pan... Łakomski?

— Do usług.
— Andrzej?
— Od urodzenia.
— Narrreszcie cię mam!!! Panie, ja pana zamorduję!

— To gorzej. A czy mogę wiedzieć za co?

— Za co? Pan się jeszcze pyta? Za te przekłete telefony. Panie, przecież mnie od roku żyć nie dają. „Czy mogę prosić pana Łakomskiego?” „Czy jest Andrzej?” „Dzień dobry Jędrusiu”. A niech to piorun trzaśnie. Nie jestem żadnym Andrzejem. Rozumie pan? Nie chcę być panem, chcę być sobą! Wynoszę się pan z książki telefonicznej spod mojego numeru!!!

— Może troszkę wody? Lepiej? No to porozmawiajmy. Proszę pana, ja rozumie i współczuję. Ale jeżeli pan już musi kogoś mordować, to dlaczego właściwie mnie? W Dyrekcji Telefonów Miejskowych, Piękna 19 — rozumiem. W Okręgowej Dyrekcji PIT., Barbary 2 — rozumiem, tam pan ma wybór. Ale dlaczego ja? Ja proszę pana, od roku już zmieniłem adres i mam już trzeci numer telefonu, ale w książce telefonicznej w dalszym ciągu figuruję pod dawnym adresem i pod numerem, który już sam zdażyłem zapomnieć. Muszę pana pocieszyć, że nowy numer, który mam teraz, należał widać do jakiejś instytucji, bo stała do mnie dzwoniła i zwracała głowę.

— No i co pan zamierza?
— Nic. Przecież na wewnętrznej stro-

nie okładki książki telefonicznej stoi, jak byk, że „Dyrekcja Okręgowa PIT nie odpowiada za straty i szkody, jakie mogą powstać wskutek nie umieszczenia lub błędnego umieszczenia nazwy abonenta w spisie telefonów”. To znaczy, że uchylają się od wszelkiej odpowiedzialności.

— Wie pan co? Mam myśl. Zadzwońmy do Syrenki. Niech ona im wygarnie.

Wygarniam. Były takie dobre czasy, gdy numer „rozwiędziony” ze swym dotychczasowym właścicielem „odpoczywał”, czyli na pewien czas wychodził z użytku. Kto dzwonił pod taki „odpoczywający” numer i raz, drugi, trzeci nie otrzymywał odpowiedzi, zwracał się do informacji, która zawiadamiała, że poszukiwana osoba ma już inny numer telefonu. W Paryżu na przykład każdy taki zlikwidowany numer zostaje od razu połączony z automatem w rodzaju zegarynki i zgłaszający się z miejsca zostaje poinformowany, że numer „odpoczywa”.

Jeżeli warszawskie numery telefoniczne z jakichkolwiek powodów nie mogą sobie pozwolić na takie „odpoczywanie”, które bardzo by się nadało bene przydało abonentom, to należałoby znaleźć jakiś inny środek zaradczy. Można by na przykład co kwartał drukować erratę w ilości egzemplarzy odpowiadającej liczbie wydrukowanych książek telefonicznych i rozsyłać ją według rozdzielnika stosowanego przy rozsyłaniu tych spisów.

Nikt by wówczas nie szukał Państwowej Komisji Cen w mieszkaniu mleja, starszej pani, która poza przyjmowaniem setki omykowych telefonów dziennie ma jeszcze kilka innych zajęć domowych, nikt by przez dwa lata nie zamawiał kabli w prywatnym mieszkaniu na MDM, zamiast w ożarówskiej fabryce, nikt by na Pradze nie szukał późną nocą... apteki w Aninie.

Znany recytator Lech Zarzycki nadesłał obszerny list w odpowiedzi na moją notatkę Rok Mickiewiczowski („SWIAT”, 26 grudnia — 2 stycznia). W notatce starałem się udowodnić światowe znaczenie Roku Mickiewiczowskiego, wymieniając uczonych, którzy kilkadziesiąt lat pracy naukowej włożyli w poznanie twórczości Mickiewicza i jego epoki, a jednocześnie próbowałem podkreślić ogólnokulturalne znaczenie Roku Romantyzmu, wzbogacającego naszą świadomość ideologiczną, i kończyłem słowami: „Oczekujemy w polsce Międzynarodowego Zjazdu Poetów, który zapłodzi twórczość niejednego z nich, oczekujemy rozwoju polskiej współczesnej twórczości poetyckiej, dramaturgicznej, malarskiej, muzycznej spod znaku Mickiewicza. Oczekujemy także rozwoju ruchu amatorskiego światlicowego, akcji” popularizatorskiej i oświatowej. O tych sprawach informować, o te rzeczy zająć zamierza w „Roku Mickiewiczowskim” „Świat”.

Zatem nie uważałem swego zadania za skończone, sądziłem tylko, że najpierw trzeba powiedzieć o tym, co winno być tematem popularyzacji, a dopiero później trzeba się zająć sprawozdaniem z samej akcji popularizatorskiej. Miał mi być więc, że nasz korespondent reagując jakże żywo, dopomina się o wiadomości dotyczące popularyzacji. Przykro mi jest natomiast, że nasz korespondent uwytłumaczając niewątpliwie i nie kwestionowane przez nikogo znaczenie recytacji wierszy Mickiewicza, nie docenia wagi innych imprez kulturalnych, które zbywa ironicznym uśmiechem. Sądzę przeciwnie, że żadna sprawa nie jest „najważniejsza” i że słusznie zasadniczą cechą Roku Mickiewiczowskiego jest jego wszechstronność. Nie docenia nasz korespondent rewolucji kulturalnej, jaka się w Polsce odbyła, gdy pisze: „Cóż z tego jednak, że nowe wydania powiększą i tak już olbrzymią ilość egzemplarzy „Pana Tadeusza”, stojących spokojnie na półkach bibliotek? Cóż z tego, że coraz częściej dzieła Mickiewicza spotykamy w chłopskich chatkach?”

„Pana Tadeusza” rozeszł się w Polsce Ludowej w nakładzie 1.640.000 egzemplarzy. Ostatnio rokrocznie sprzedaje się „Pana Tadeusza” po 250.000 egzemplarzy. „Pana Tadeusza” jest stale w druku i nie kupują go już biblioteki, kupują czytelnicy, żeby czytać. Polskę po prostu ogarnął zbawczy „szał czytelniczy”, który sprawia, że każda dobra książka jest wyczerpana po 2 dniach — 2 tygodniach i papier dziś musimy sprowadzać z zagranicy, bo nie starcza krajowego surowca. To nieprawda, co pisze nasz korespondent: „Trzeba dużego przygotowania wewnętrznego, by z pożytkiem przeczytać poezję. Nam, inteligentom, od dzieciństwa przyzwyczajonym...” idt. To właśnie są inteligentkie zastrzeżenia. Mickiewicz od chwili swego poetyckiego debiutu nie był nigdy „niezrozumiały” — tego wyrazu używa nasz korespondent — dla najszerszych mas ludowych. Tego nawet nie próbowała twierdzić fałszująca rzeczywistość burżuazyjna historia literatury. Nie znaczy to bynajmniej, aby ktokolwiek nie doceniał pięknej sztuki recytacji, jej znaczenia propagandowego. Korespondent nasz wyraża obawy, czy w zakresie recytacji przewidziany jest w ogóle jakiś program, pisze bowiem: „Zwracałem się w tej sprawie do wielu ludzi, wszyscy kiwali głowami, przyznawali mi rację, po czym każdy mówił: „to nie mój rewid”. Sam na własną rękę, po partyzancko zająłem się tą sprawą, już od kilku miesięcy jeżdżę po Polsce z recitalami poezji Mickiewicza. Ale dlaczego jestem sam? Dlaczego nikt o tych sprawach nie myśli?”

Otoż, niezależnie od Polskiego Radia i Telewizji, a z drugiej strony ruchu światlicowego i amatorskiego, imprezy recytatorskie organizuje przede wszystkim najbardziej do tego powołany Artos.

Artos nie występuje z własną koncepcją artystyczną, która doprowadziłaby niewątpliwie do uniformizacji sztuki. Bierze na siebie stronę organizacyjną, operując na bazie poszczególnych teatrów, które wyłaniają ze swego grona zespoły (takich zespołów w Warszawie jest już cztery; obsługuje one stolicę i najbliższą prowincję). Ponadto Artos zawiera kontrakty z poszczególnymi artystami. Oddziały prowincjonalne postępują podobnie. Stąd słowa korespondenta: „Będzie bałagan, ubóstwo repertuarowe, marnotrawstwo wysiłku ludzkiego i pieniędzy” — wydają się zapowiedzią nie uzasadnioną.

Wiadomo, że na uroczystej akademii, która zainauguruje Rok Mickiewiczowski, wystąpią nasi najwybitniejsi aktorzy — nazwiska ich wymienia nasz korespondent — nie ma więc chyba obawy, aby później z ich kunsztu recytatorskiego nie korzystało Polskie Radio, Telewizja, czy Artos, uatwiając im występowanie w stolicy i w teatrze. Artos podpisuje również umowy licencyjne na obrazy po całej Polsce, występy w szkołach, godząc się, by recytator miał własnego impresaria. Np. umowa znanego recytatora L. Zarzyckiego jest o tyle korzystna, że pozwala mu się ona obyć „bez subwencji państwowej” (ten zwrot także zaczerpnęły z listu naszego korespondenta). Zatem, gdy chodzi o program wszechstronnego Roku Mickiewiczowskiego, czy o dziedzinę popularyzacji i jeden z jej zakresów — recytacje, słowa — „Dlaczego jestem sam? Dlaczego nikt o tych sprawach nie myśli?” — nie znajdują potwierdzenia w łatwych do sprawdzenia faktach.

ADAM MAUERSBERGER

SZACHY

PARTIA NR 136
grana w czasie II korespondencyjnych mistrzostw ZSRR.

Partia hiszpańska

Białe: Atjaszew
Czarne: Szaposznikow
1. e2-e4 e7-e5 2. Sg1-f3 Sb8-c6 3. Gf1-b5 a7-a6 4. Gb5-a4 Sg8-f6 5. 0-0 Sf6-e4

Posunięcie to prowadzi w partii hiszpańskiej do wariantu zwanego otwartym. Czarne, jak się wkrótce okaże, nie zamierzają zdobyć piona; dzięki posunięciu w tekście w połączeniu z ruchem 9 uzyskują one żywą grę dla swoich figur.

6. d2-d4 b7-b5 7. Ga4-b3 d7-d5 8. d4:e5.

Wyrównują czarne po 8. a4 S:d4 9. S:d4 e:d4 10. a:b5 Gc5 11. c3 0-0 12. c:d4 Gb6 13. Sc3 Gb7 (Lasker-Schlechter, 1910).

8... Gc8-e6 9. c2-c3 Gf8-c5

Drugą, prawdopodobnie lepszą, a na pewno spokojniejszą możliwością dla czarnych jest tu 9... Ge7. 10. Sb1-d2 0-0 11. Gb3-c2 Se4:f2

Zazwyczaj grywane tu jest 11... f5. Posunięcie w tekście wprowadzone do praktyki przez Botwinnika jest bardzo ciekawe, niemniej nie daje chyba czarnym pełnego wyrównania.

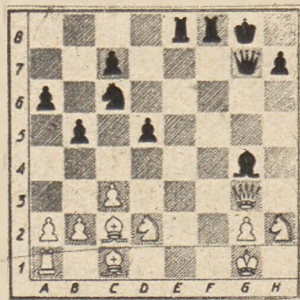
12. Wf1:f2 f7-f6
Czarne oddały dwie figury za wieżę i piona, oraz możliwości ataku na króla przeciwnika. Ostatnie posunięcie zmierza do otwarcia linii „f”.

13. e5:f6
Słabsze jest 13. He2, gdyż po 13... f:e5 14. Sb3 G:f2+ 15. H:f2 Gg4 czarne uzyskują realną kontrgrę.

13... Gc5:f2+
Czarne niepotrzebnie spieszają się z biciem wieży. Węcej szans dawało 13... H:f6 14. Hf1 Se5.

14. Kgl:f2 Hd8:f6 15. Kf2:g1 g7-g5 16. Hd1-e1.
Najlepsze! Po 16. Sb3 g4 atak czarnych mógł okazać się niebezpieczny.

16... Wa8-e8 17. He1-g3 g5-g4 18. h2-h3 Hf6-g7 19. h3:g4 Ge6:g4 20. Sf3-h2!



Pozycja po 20. Sf3-h2!

20... Gg4-d1
Posunięciem tym czarne rozpoczynają kombinację, w której jednak przeciwnik znajduje „dziurę”. Zresztą trudno doradzić czarnym coś lepszego.

21. Hg3:g7+ Kg8:g7 22. Gc2:d1 We8-e1+ 23. Sd2-f1! We1:d1 24. Gc1-h6+
To jest właśnie ta „dziura”! 24... Kg7:h6 25. Wa1:d1 i czarne poddały się.

SWIAT NASZA KRONIKA

Dokończenie ze str. 2

załatwia sprawy jak chce, od ręki, i tych zwolnionych z więzień i tych, co nigdy w więzieniu nie siedzieli. A dobrze by było, żeby ob. Damięcki zaczął trochę czytać. Jak to powiedział Krasicki (podejrzana osoba, biskup i hrabia, ale z drugiej strony jakby ksiądz patriota) „trzeba się uczyć, przeminął wiek złoty”. Trzeba czytać nie tylko podania. Warto czytać, gdy się tyle mówi o Partii i o władzy ludowej, i „Nowe drogi”.

W tych to „Nowych drogach”, w numerze, który wyszedł ostatnio, czytamy między innymi: „Masz ludowe chęć, aby nasza sprawiedliwość karała tych, co chcą przywrócić ustrój wyżysku i krzywdy, aby paraliżowała zakusy zbrodniarzy, ale równocześnie wymagają, aby nie dopuszczano do żadnej ludzkiej krzywdy, aby troskliwie strzegła godności ludzkiej i bezpieczeństwa każdego obywatela naszej Ludowej Rzeczypospolitej”.

„Nowe drogi”, towarzyszu Damięcki, piszą w innym miejscu tegoż samego artykułu:

„Czy nie jest jasne, że do każdego człowieka trzeba się odnieść wnikliwie, że trzeba tępić nieprzejednanie wszelkie zwykany w stosunku do tych, którzy uczciwie pracują dla ludowej ojczyzny? Dotyczy to nie tylko byłych AK-owców. Dotyczy to byłych członków wszelkich partii i grup reakcyjnych, które działały w Polsce przed wojną i w czasie okupacji — partii i grup wrogich masom ludowym, wrogich narodowi polskiemu”.

NACZELNIK Damięcki ma podkładkę pod swoje decyzje, ma rozporządzenia i okólniki. Jego decyzje jednak pozostają w wyraźnej sprzeczności z nakazami Partii i Rządu. Okólniki i rozporządzenia należy wypełniać właściwą treścią polityczną. Może to, co robi naczelnik Damięcki, rzeczwiście nie przynosić jakichś tam poszczególnym paragrafom okólników. Godzi on jednak w prawdziwe poczucie praworządności, w intencje Partii i władzy ludowej, stwarza fałszywy obraz naszego życia, buduje poczucie jakiejś podwójności i niezgodności między słowami i czynami. A słowa i czyny muszą być ze sobą w największej zgodzie. I w Warszawie i jak cała Polska długa i szeroka.

Sądzę, że jeśli państwo i Partia nie zamykają dróg powrotu do normalnego życia ludziom, którzy za swe przestępstwa odcierpieli karę, to nie można uprawiać polityki Damięckiego. Sądzę, że sprawy ludzkie są sprawami podstawowej wagi i że w ręku samych Damięckich spoczywać nie mogą. Sprawy ludzkie, trudne i różne, muszą być otoczone naprawdą czułą troską mądrego i wyczulonego politycznie kolektywu.

Poczucie praworządności dotrzeć musi wszędzie. Także i na Żurawia nr 44 w Warszawie, gdzie mieści się Wydział Kontroli Ruchu Ludności.

JAN SZELAG

LENGREN



...Nie martw się, synku, może się oziębi...

SZKICE O PRZESZŁOŚCI

W notatce o charakterze informacyjnym, książkę Artura Międzyrzeckiego „Wieczory muranowskie” nazwać można tomem szkiców literackich, poświęconych postępowym i rewolucyjnym tradycjom naszego piśmiennictwa osiemnastego i ubiegłego stulecia.

Ale odchylimy okładkę. Pierwsza zaraz strona wyjaśnia nam, w jaki sposób książka powstawała. Nowi sąsiedzi nowego bloku muranowskiego — drukarz i pisarz — schodzą się na wieczorną lekturę i pogawędkę; „stało się naszą tradycją odczytywanie fragmentów literackich, zawierających zapowiedź przyszłości. Szukaliśmy pilnie, czytaliśmy na zmianę, a kiedy odnajdowaliśmy w uskrzydłonej wizji nasz dzień dzisiejszy — była to dobra i duża radość”. W tym wyznaniu autorskim mieści się cała koncepcja książki: spojrzeć w naszą bogatą przeszłość i odszukać te marzenia i postulaty, które się dziś właśnie realizują w rzeczywistości.

W „Wieczorach muranowskich”, których poszczególne rozdziały znane są zresztą Czytelnikom „Świata”, sąsiadują obok siebie nazwiska pisarzy i działaczy społecznych różnych okresów naszej historii. Łączy ich myśli i pragnienia wspólne dążenie do postępu, do wolności. Toteż nie zdziwi nas Franciszek Salezy Jezierski obok Konopnickiej, ani też Mrongowiusz i dzisiejsi pisarze mazurscy.

W szkicu poświęconym dziejom naszego rzemiosła hutniczego, poprzez kontrastowe zestawienie nonsensów i niedorzeczności osławionych „Nowych Aten albo Akademii Wszelkiej Sciencji Pełnej” Benedykta Chmielowskiego z trzeźwymi myślami Staszica, doskonale ukazał autor sclerowanie się w dziejach myśli polskiej postępu z ciemnotą, wiedzy z zabobnem. Jak inną już metodą — poprzez przytaczanie fragmentów dawnego piśmiennictwa — dojść można do mocnej politycznie i niebanalnie ukazanej pointy z roku 1953 — świadczy szkic „Diariusz damy”.

Kiedy indziej znowu wydarzenie współczesne staje się dla autora punktem wyjścia do retrospektywnego spojrzenia w przeszłość. Taką okazją było np. dwudzieste polskie wydanie „Manifestu Komunistycznego”.

Niemal poprzez wszystkie szkice Międzyrzeckiego przewijają się dawne warszawskie tradycje — od drukarni księdza Meiera na Starym Mieście aż po kłopoty Witkiewicza i Gieryskiego z wydaniem stołecznego albumu.

Zebrane obok siebie pragnienia i myśli pisarzy różnych lat przypominają bieg sztafetowy, w którym pokolenia przejmują postępowe tradycje swego narodu i wzbogacają je o nowe wartości.

Ozdobą książki są reprodukcje dzieł wybitnych malarzy polskich: Norblina, Kostrzewskiego, Gieryskiego, Wyczółkowskiego, Pankiewicza i innych.

RYSZARD WASITA

*) Artur Międzyrzecki: Wieczory muranowskie. PIW 1954, str. 197.

NOWE KSIĄŻKI

O MISTRZACH POLSKIEGO TEATRU

PIW zainicjował ciekawy cykl wydawnictw, poświęcony życiu i twórczości mistrzów sceny polskiej. Pierwszym tomem, który ukazał się już na półkach księgarskich, jest bogato ilustrowana książka o Wojciechu Bożusławskim. Tom zawiera dwie prace: OJCIEC SCENY POLSKIEJ — pióra Zbigniewa Krawczyńskiego oraz drugą pt. KRONIKA ŻYCIA I DZIAŁALNOŚCI WOJCIECHA BOGUSŁAWSKIEGO, której autorami są Stanisław Dąbrowski i Stanisław Strauss. Wydawnictwo przygotowuje dalsze tomy tego cyklu, a m. in. monografię pióra Wojciecha Natanson o Karolu Adwentowiczu.

WIERSE LIRYCZNE GAŁCZYŃSKIEGO

Ku radości miłośników talentu wielkiego poety ukazał się na rynku księgarskim zbiór kilkudziesięciu jego wierszy pt. LIRYKA (Wydawnictwo Literackie).

CEKAWIE WZNOWIENIA

W okresie przedświątecznym pojawiły się liczne wznowienia cieszących się dużą poczytnością książek z dziedziny literatury pięknej. Ukazały się więc m. in.: PORT ARTUR — Stepanowa, CUSZIMA — Nowikow-Pruboja (obie wydał MON), BIAŁA BRZOZA — Bubiennowa (Czytelnik), MARTIN EDEN — Londona (Iskry), MIASTECZKO NA DŁONI — Drdy (PIW) oraz ulubione przez najmłodszych czytelników książki: UCZNIOWIE SPARTAKUSA — Rudnickiej i PINO-KIO — Collodiego (Nasza Księgarnia).

SPROSTOWANIE

W dziale Nowe Książki w numerze 51 naszego pisma podaliśmy m. in. wiadomość o przygotowywanym przekładzie nieznanej nam książki wybitnego pisarza francuskiego z ub. stulecia, Jules Valles'a. Przypomnieliśmy przy tej okazji o cyklu powieściowym Valles'a JAKUB VINGTRAS. Cykl ten przyswojony został polskiemu czytelnikowi w okresie międzywojennym przez JULIANA ROGOZIŃSKIEGO, a nie — jak mylnie podaliśmy — przez Bogusza Żeleńskiego, który jest autorem odrębnego studium o Valles'ie.

tylko dla KOBIEC

KARNAWAŁOWE WSPOMINKI

— „Anno! Bądź na balu!”

A dalej szaty z tureckiego szalu,

Wielkie ze złota ulane łańcuchy,

Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,

Perły daleko łowione w Basorze...”

dekamowała Bieleckiego moja starsza córka, podczas gdy Franka pogadulwie przygadywała się zwałom niebieskiego tiulu, pokrywającego stoł, krzesło i podłogę. W pokoju było ciepło, przytulnie i dziwnie jasno. Ta jasność wydała mi się podejrzana i nagle przyszedł na mnie oświecenie! Tiul, z którym walczy Alina, upinając go na suknię karnawałową, to nic innego, jak nasze pocziwe, wycerowane tiulowe firanki, do których, wstyd powiedzieć, byłam przywiązana. — Firanki — krzyknęłam rozłoszczona. — Droga mammo — błagam — wejdź na sukna, bo zniszczysz zabłoconymi butami moją podłogę! Zdejm kapelusz, usiądź! Daj, powieszę twój płaszcz — Franka okazywała mi niezwykłą u niej serdeczność. — A najważniejsze, mammo — zachowujmy „sito w głowie”. Po cóż denerwować się z powodu firanek? Lepiej się cieszyć, że twoja romantyczna starsza córka będzie królową balu!

— Mammo — Alina objęła mnie czule — gdybym była zapytała ciebie, czy poświęcisz firanki, straciłabym czas na twoje wahanie, a trzeba je było przecież ufarbować, skroić i uszyć. I tak jest już późno i liczę, że mi pomożecie szyć, ty, mammo, Franka i kochana ciocia.

W tej chwili zapukała ciocia, która tak rozkochała się w zwiedzaniu Warszawy, że przedłużyła swoją wizytę u nas z trzech dni do trzech tygodni...

— A w co miała się ubrać? — odezwała się ciocia wpadając z godną podziwu celnością w sam środek naszego sporu — w jedwab milanowski po 140 złotych za metr?

— Albo w tualę z „ciuchów” za 800 złotych od sztuki? — dogadywała Franka, zdumiewająco solidarna ze starszą siostrą.

— Ciociu — opowiedz o swoim pierwszym balu — prosiła Alina. — Mammo, i ty też! — skoczyła Franka. — Jak to bywało w zamierzonych czasach?

— Et — zachnęła się ciocia — nic wesołego do wspomnienia. — Miałam 18 lat, byłam nauczycielką dzieci w bogatym dworze. Widziałam wtedy po raz pierwszy BAL. Oczywiście przez okno. Nikt mnie nie prosił i miałam „jedną sukienkę” na „krzyż”, jak to się mówi, nie należałam do towarzystwa. Potem już mnie nigdy nie ciągnęły bale. Nie było czasu, ani humoru...

— No, a ty, mammo? —

Mój pierwszy bal wypadł na okres powojenny. Po wojnie 1914 roku. Był to wielki bal bibułkowy, wszystkie suknie zrobione były z bibułki, nikt przecież nie miał na materiały, ani na suknie... Miałam na dodatek ogoloną głowę, po tyfusie...

— Trzeba się było przebrać za mężczyznę i iść na maskaradę — znalazła pomysłowe wyjście Franka.

— Wypożyczyłam białą perukę i tańczyłam całą noc w bibułkowej, karbowanej tualęcie.

— Musiałaś, mammo, pięknie wyglądać — stwierdziła w rozmarzeniu Alina.

— Byłam młoda, moje dziecko — odpowiedziałam sentencjonalnie.

— Popatrz mammo, jak to dobrze, że masz tylko jedną córkę romantyczną. Co to byłoby, gdybym ja

też lubiła chodzić na bale. Mogłabyś stracić na przykład prześcieradło, kapę z łóżka, albo coś podobnego!

— W każdej czarnej sytuacji jest zawsze dobra strona — stwierdziła Franka. — Alina, mogę ci machnąć jakiś kolorowy wzór na twoim tiulu.

— Coś ty nagle taka dobra? — zdziwiła się Alina — skąd ten niezwykły humor?

— Hurra! — krzyknęło młodsze dziecko — nareszcie gołe szyby bez lachmanów! Mogę malować na szkło! Właśnie przechodzimy do tego w Akademii!

(Ciocia — trzy tygodnie z nami. Dom ogolony z firanek. Perspektywa — przysłonięta bazyliadami na szybach. Każdy ma swój karnawał — pomyślałam).

Anne Ziobron

CZYŚ TAŃCZYŁA W WYGODNYCH PANTOFELKACH?



Dawniej i dziś



„ŚWIAT” WAS PODPATRZYŁ W NOC SYLWESTROWĄ

Fot.: JAN KOSIDOWSKI

